Nr. 1 (1097). Warszawa, 22 Grudnia 1901 r. (4 Stycznia 1902 r.) **Rok XXII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłą pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od godz. 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

TRIPOLIS.

Zwolna, łagodnie, gospodarskim sposobem, bez krzyku, bez znoju, bez starcia, dokonywa się rozbiór Turcyi. Bośnię i Hercegowinę w r. 1879 zajęła Austrya, Tunis w r. 1880 Francya, Egipt w 1882 taż sama co i Cypr Anglia, Kretę — czterej konsulowie w imieniu Europy jako opiekunki. Teraz wreszcie przyszła kolej na Trypolitanię. Oświadczenia obu ministrów dwu państw śródziemnomorskich, Włoch i Francyi, pp. Prinettiego i Delcassé'go, nowe to ulżenie ciężaru Turcyi—wyprowadziły na jaw z całą otwartością i całem też zuchwalstwem właściwym silniejszemu wobec słabszego. Oba państwa „porozumiały się co do sfer“ swych wpływów. Wiemy, co znaczy to wyrażenie w najnowszym volapuku dyplomacyi, wprowadzonym w użycie pierwszy raz do spraw Afryki: jest to zapowiedź objęcia w posiadanie, oczywiście tymczasowe tylko; ale i z tą „tymczasowością“ również świat się doskonale zapoznał: posiadanie tymczasowe jest synonimem własności wieczystej.

Rozgraniczenie sfery wpływów dotyczyć mogło tylko tej części hołdowniczego dawniej, w XIX w. już bezpośrednio państwu ottomańskiemu podległego terytoryum tureckiego w Afryce, które się rozciąga pomiędzy zajętym przez Anglię Egiptem a zajętą przez Francyę Tunetanią. Na tem terytoryum leży właśnie Tripolis i to dawne bejostwo właśnie jest przedmiotem cichej, gospodarczej grabieży. Nie ogłoszono jeszcze tekstu umowy, która prawdopodobnie pozostanie w aktach tajemnych aż do spełnienia operacyi *in anima vili*; oświadczenie w dzienniku urzędowym włoskim stylizowane jest przez jakąś Pytyę delficką: ale głosy obu ministrów ukazują dość wyraźnie zarysy umówionego stosunku. Oto Włochy nie będą przeszkadzały Francyi w rozpościeraniu się na zachód od Małej Syrty, a w zamian zyskują zapewnienie, że Francya nie będzie im przeszkadzała w pozyskaniu wpływów na pomorze, zgrupowane około Syrty Wielkiej. Zatem: Algerya, Tunetania i Marokko dla Francyi, a Trypolitania, jak daleko pozwoli ją zabrać Anglia — dla Włoch.

Sielanka tunetańska Włochów nie wczoraj dopiero w ich wyobraźni się wytworzyła. Już podczas słynnego *condominium* francusko-angielskiego w Egipcie, a wyraźniej po przystąpieniu Włoch do trójprzymierza i dokonanej już przyjacielskiej „okupacyi“ Egiptu, zatem przed 18 laty, Włochy występowały w charakterze potęgi, która pragnie zaopiekować się Trypolitanią, aby jej między siebie nie rozdarły Anglia i Francya, z obu boków na nią natrzeć gotowe. Powtarzały się pogłoski niejednokrotnie, a nawet w złych czasach, gdy oba mocarstwa śródziemnomorskie skakały sobie do oczu, głoszono, że urządzanie wielkiego portu i arsenału wojennego w Bizercie jest ze strony Francyi tylko zbrojeniem się na przyszłe niebezpieczeństwo, grożące ze strony Włoch. Teraz nastała chwila dobra. Niepokoje, obawy i groźby zniknęły: po sąsiedzku pogodzono się kosztem sąsiada. Wzięto przed siebie mapę i popr[redacted]na niej linię: linia jest symbolem przy[redacted]stępującej dotychczasową nieufność, kwasy i gorycze dyplomatyczne i narodowe.

Wątpić nie można, że Włochy przed zaprzyjaźnieniem się, które wypada ściśle określić i zarazem co do podmiotu ograniczyć nazwą „śródziemnomorskiego“ musiały się porozumieć ze swymi sprzymierzeńcami Niemcami i Austryą, i uzyskać ich pozwolenie, i nietylko to, ale i przyrzeczenie poparcia w przyszłości. W słowach Delcassé'go, że mocarstwo to, jako należące do trójprzymierza, ma swobodę działania, jakiej nie zażywa Francya, wyrzeczonych d. 24 z. m. w Izbie, widać tylko urzędownie jeszcze uznawane prawo Turcyi wrzekomo przez trójprzymierze, a więc i przez Włochy, bronionej. Domyślanie się jakiegoś układu dobrowolnego z Turcyą — byłoby szukaniem wiatru w polu. Turcya patrzy, słucha, czeka, jak i kiedy umowa o jej posiadłość przez trzecich zawarta rzeczywistością się stanie — i na tem kończy się jej rola. Jej dyplomaci nadrabiają miną, udają naiwnych, bawią się w piękne słówka lub w czcze zaprzeczenia. Z Turcyą sprawa skończona bez Turcyi. Trójprzymierze stoi jak stało, a domysły jakiejś zmiany frontu ze strony Włoch wobec dwu sprzymierzeńców są równie dobrze tkane z pajęczyny, jak i przewidywania przymierza, choćby tylko handlowego z Francyą. Tylko stosunek na morzu Śródziemnem nabrał nowych ustalonych kształtów: nic nie zmieniło się w ogólnym stosunku Włoch do mocarstw. Niepewną jest tylko metoda, mająca wprowadzić umowę w życie i ostateczne jej powodzenie. Tutaj przyszłość może przynieść burzę.

Walka parlamentarna o traktaty handlowe.

I.

Z dotychczasowych rozpraw nad taryfą celną wyszedł zwycięzcą mały chłopczyna, który przed miesiącem był jeszcze zupełnie nieznaną osobistością, a dziś zażywa opinii bodaj czy nie najpopularniejszego człowieka w Niemczech. Jaka jest biografia tego małeńkiego Dawida, który zmiażdżył Goliata, nie wiem! Opowiem o tem „cudownem dziecku" to, co wie o niem świat cały.

Przed kilku tygodniami chowano w Kolonii ucznia szkoły elementarnej. Po powrocie z pogrzebu nauczyciel wygłosił w klasie wielką mowę. Chcąc się przekonać, jak dalece krasomówstwo jego podbiło serca dziatwy, nauczyciel postawił na zakończenie pytanie, kto z obecnych chciałby pójść do nieba. Ale, dziwna rzecz, nie znalazł się ani jeden amator, który chciałby wyemigrować z padołu ziemskiego. Nauczyciel przygnębiony tą niesłychaną bezbożnością młodego pokolenia, powtórzył po raz drugi swoje pytanie. Teraz dopiero zgłosił się ochotnik, ale nauczyciel oczom swoim wierzyć nie chciał. Malec bowiem, który wyraził gotowość natychmiastowego wyjazdu, odznaczał się zwykle roztrzepaniem, często podczas wykładu zasypiał i nigdy nie umiał lekcyi. „A dlaczego — zapytał z gniewem nauczyciel — chciałbyś pójść do nieba?" „Bo ja ciągle cierpię głód, proszę pana nauczyciela" — odparł chłopiec.

I oto nie wiadomo jak epizod ten doszedł do wiadomości dowódcy krańcowej lewicy, a gdy ten wygłosił swą wielką, pełną zapału, miażdżącą mowę w obronie traktatów handlowych, zaprezentował sejmowi Rzeszy w swej filipice malca, który chciał wywędrować na łono Abrahama, aby być tam zawsze sytym. Posłowie, przedstawiciele rządowi, publiczność na trybunie i dziennikarze oniemieli. Ten i ów spuścił głowę. Ale tu właśnie, kiedy na jedno mgnienie oka przemówiło sumienie w junkrach, fabrykantach i ministrach, zaszedł smutny epizod. Jeden z posłów, hr. Arnim, wychodząc z zasady, iż nędzy na ziemi wcale niema, a jeśli istnieje, to tylko jako skutek lenistwa, pijaństwa, przestępstwa itd., krzyknął na cały głos: „A bo ojciec malca wszystko przepił!" Właściwie była to tylko maleńka niekonsekwencya, bo iluż to hrabiów pija szampańskie, miewa utrzymanki i rozbija się w Monte Carlo, a jednak synowie ich nietylko nie umierają z głodu, ale na polu rozpusty i pasorzytniczego trybu życia zatykają za pas jeszcze swych ojców. Bądź co bądź, uwaga hrabiego wywołała burzę nieznaną w dziejach sejmu Rzeszy. Mówca krzyknął: „Infamia! Brutalność!" i wnet cała lewica jak jeden mąż z zaciśniętemi pięściami skoczyła z miejsca i otoczyła szlachetnego hrabiego, aby rozszarpać go na miejscu. Z trudem potrafił prezydent uspokoić zgromadzenie, stwierdzając publicznie, iż wyrazy „infamia, brutalność," lubo nieparlamentarne, są słuszną odprawą za wybryk hrabiowski. Zajście to było punktem kulminacyjnym całej walki i porażką moralną drapieżnych a chciwych junkrów. Prawdopodobnie nawet hrabia pod naciskiem swego obozu złożył mandat. Nędza bowiem jest rzeczą świętą i najordynarniejszy nawet wyzyskiwacz, który tuczy się jej krwią, nie ma prawa znęcać się nad nią publicznie, tem bardziej, iż junkrzy, utrzymywani przez naród kosztem jego krwawicy i pracy, udają, że występują w obronie ceł jedynie dla dobra nędzy. Im więcej będzie kwitło rolnictwo — wywodzą — tem lepiej będzie się powodziło nietylko chłopu, ale i biednemu robotnikowi. Narodowi liberałowie zaś, gdy mówią o ludzie, to ocierają sobie nawet łzy, cisnące się im do oczu i przytem szlochają na cały głos. Wskutek tego wybryk hrabiowski, o ile odsłonił brudną duszę hreczkosieja i jednomyślne oburzenie całego parlamentu, jest tryumfem opozycyi, walczącej w obronie traktatu handlowego z Rosyą.

Ale tylko tryumfem moralnym, stąd zaś do zwycięstwa faktycznego tak daleko, jak od nieba do ziemi. Nie zapominajmy, iż pomimo wszystkich haseł ludowych i społecznych, pomimo nawoływań do „pokoju społecznego" i ustępstw dla prądów nowoczesnych, większość parlamentarna nie kieruje się sentymentami. Wprawdzie socyaliści katedralni wciąż perorują na tematy społeczne, a studenci odpowiadają im na to grzmotem tupotu podziemnego, wprawdzie pisze się w książkach i pismach o nowych czasach, obowiązkach moralnych itd., ale są to wszystko słowa na wiatr i komedye stylistyczne. Tak zwana „demokracya" dotychczas istnieje na papierze, a jeśli ktokolwiek wierzył w zgodne, solidarne i harmonijne współżycie i współdziałanie wilków i owiec, to walka o traktat handlowy z Rosyą musi przyprawić go o najfatalniejsze rozczarowanie. Wszelkie dowody, protest literatury ekonomicznej, protest rad miejskich, izb handlowych, zebrań politycznych, trzy i pół miliona podpisów figurujących pod petycyą antycelną, podaną do sejmu Rzeszy, kryzys i rosnące z dnia na dzień bezrobocie — wszystko to nie wywarło żadnego wrażenia na kartelu parlamentarnym, który za wszelką cenę, bez pardonu gotów ściągać swą daninę z ludu-spożywcy. Różnobarwna koalicya, występująca w obronie ceł, ma w istocie bardzo różnorodne interesy, lecz łączy je jeden punkt wspólny: brak współczucia dla nędzy ludu. Przyjrzyjmy się dążeniom każdej z grup, broniących wysokich ceł na produkty rolne i minimalnej taryfy, narzucanej w sposób rozkazodawczy państwom ościennym.

Przedewszystkiem co się tyczy ministrów, to ożywia ich jedno uczucie — obawa o własną skórę. Jakeśmy już pisali, oświadczono przy dworze: „jeśli traktaty handlowe nie przejdą, wszystko będzie rozbite na miazgę." A że przez „wszystko" należy rozumieć pewne przedmioty osobowe z Wilhelmstrasse, łatwo się domyślić. Niepodobna zaś dzisiaj przeprowadzić traktatów handlowych wbrew woli rozzuchwalonych junkrów, jak to uczynił Caprivi. Wskutek tego ministrowie szukają rozstrzygnięcia powierzonego im zadania na drodze najmniejszego oporu, mniemając, iż idąc ręka w rękę z większością parlamentarną, zorganizowaną przez junkrów, potrafią rozwiązać kwadraturę koła — dogodzić junkrom, a jednocześnie zmusić Rosyę, Austryę i Stany Zjednoczone do schylenia czoła przed skromnemi i bezinteresownemi żądaniami feodałów pruskich. Bronić ludu znaczyłoby uzbroić przeciwko sobie partyę, która pomimo iż rdzeń jej stanowi szczupła garstka magnatów, trzęsie i igra z rządem niemieckim i dworem.

Ta zwyrodniała kasta, nienasycona w swej żądzy, obdarzana od lat dziesięciu wszelkimi materyalnymi dowodami łaski, aby dopiąć swego celu, wystawiła, nie krępując się, bezczelne hasło: „Precz z traktatami handlowymi wogóle! Niemcy dla junkrów niemieckich." Tem samem pokazała

---

1)

M. Grossek.

SERCE.

I.

Pani Tekla z Lubienieckich Różyńska, wdowa po marszałku, dziedzicu rozległych ziem w gub. Wołyńskiej, dziś zubożała od lat wielu, siedziała w swoim małym pokoiku na staroświeckiej, skórzanej sofie pod oknem i szyła. Kawał śnieżnego perkalu opierał się z jakimś złośliwym szelestem obrotom jej rąk wysmukłych, których żółte kostki, podobne do spróchniałych i wydeptanych klawiszy odwiecznego klawikordu, stojącego po drugiej stronie okna, ruszały się w nerwowym pośpiechu.

Przez trójkątny otwór wśród firanek widać było smutny kawałek małomiasteczkowego podwórka z brzydkiem ogrodzeniem z tarcic, na które raz po raz wskakiwał czerwony kogut i piał.

W pokoju było klasztornie.

Ściany pociągnięte wapnem i gęsty muślin spszczonych firanek rzucały martwą jednostajną białość na pochylony, suchy profil, narysowany ostro i regularnie, o brwiach czarnych i gęstych, niby od szeregu bolesnych zadziwień wzniesionych w górę, złamanych przy skroniach i prawie dotykających równie czarnych, karbowanych, staroświeckich niobów.

Była to jedna z tych twarzy, które nigdy się nie zmieniają. Czas zasusza je tylko, jak kwiat, między kartkami książki.

Właśnie daleko, bardzo daleko przed oczami trzymała igłę, usiłując ją nawlec, gdy zwolna uchyliły się drzwi od kuchni i, wysłana na zwiady, zajrzała naprzód okrągła główka, obciążona wielkimi warkoczami o czarności brunatnej i miękkiej, nakryta słomianym kapeluszem ze strusiemi piórami, a zaraz potem wsunęła się drobna, okrągła figurka w migdałowej, jedwabnej sukni, kształtna, lecz zabawnie wyglądająca, w strojnem, źle dopasowanem ubraniu; w jej ruchach żywych, drobnych a niepewnych przebijał się jakiś nieuchwytny akcent poczciwości, jakieś milutkie zaniedbanie i niezgrabność.

Wspiąwszy się na palce, stała uśmiechnięta, uniosłszy trochę sukni i namyślając się, jak swem przejściem przez pokój nie obrazić świeżo wymytej podłogi, której proste, wzdłuż [illegible] żółte deski [illegible] poprzedzielane pasami szpar jeszcze wilgotnych.

Nie ulegało wątpliwości, że dla pani Różyńskiej czystość podłogi musiała być czemś świętem. Świadczył o tem każdy kąt jej siedziby. Ordynarny jesion świecił się tu jak bursztyn, a na łóżku zasłanem adamaszkową kapą i batystami, które równie gęsto pokrywały cery, jak hafty — mogłaby się była utrzymać szklanka wody.

A pani aptekarzowa, Serafina Kucz, posiadała rzadką właściwość: uznawania cudzych słabostek.

Z tego też powodu, idąc tu z rana, z interesem i w dzień powszedni, przywdziała suknię paradną — ona, kobieta prawdziwie wyjątkowa pod względem zupełnego braku pretensyi. Bo pani Różyńska, jak każda podupadła wielkość, była drażliwa i chorobliwie czuła na ludzkie obejście. W stroju mniej dbałym byłaby mogła dopatrzeć się tego lekceważenia, którego cień prześladował ją wiecznie. Jej małe, biegające oczy podejrzliwie badały toalety, odwiedzających ją, pań z miasteczka, a na widok skromnego perkaliku, przywdzianego zapewnie w najniewinniejszej myśli, wpadała w zwykłe koło czarnych rozpamiętywań: „Byłabyś ty się obwiesiła, jak obraz cudowny, gdybym cię była zaprosiła ongi do Różyna."

Wprawdzie teraz na widok materyi i strusich piór pani aptekarzowej pomyślała podupadła magnatka, że „te mieszczki" nie wiedzą, kiedy i jak się ubrać, nie mniej jednak kojąco podziałała na nią strojn oś

ona bez osłonek, iż nie wzdraga się nawet przed następstwami najbardziej przewrotnej i utopijnej polityki muru chińskiego. Ani głód, ani nędza, towarzyszące drożyznie zboża i brakowi zajęcia w razie wojny celnej, nie odstraszają bynajmniej obszarników niemieckich. Gdy jeden z ekonomistów, pozostający na służbie ochotniczej obozu junkierskiego, niejaki R. Wenckstern wygłosił wielką mowę, w której śpiewał hymny wysokim cłom, chwaląc zarazem politykę pokojową traktatów handlowych, to otrzymał natychmiast dymisyę literacką z podziękowaniem za tego rodzaju apologię ceł. Wszelkie kołatanie zatem do serc jest śmiesznością. Naumyślnie, jakby z przekory podnieśli oni cenę swych żądań do bajecznej wysokości aby po targu, jaki nastąpi, oświadczyć wspaniałomyślnie, iż tylko dla miłego spokoju przystają na proponowane cło 6-o markowe, na czem zresztą najgorzej wyjdą parobcy, albowiem tylko przy wyższem 7-o lub 8-o markowem cle mogliby podnieść zarobki tym biednym swym kolegom zawodowym.

Bodaj czy nie wstrętniejsi są spólnicy junkrów, narodowi liberałowie i katolicy z centrum. Jeśli junkrzy mogą powoływać się na upadek cen zbożowych, który sam przez się zresztą zupełnie niczego nie dowodzi, to fabrykanci niemieccy wzbogaceni na rynkach rosyjskich i innych zagranicznych, nie mogą wzruszać serc lepiankami, krytemi „słomą,“ w których, według zapewnienia hr. Kanitza, mieszkają junkrzy, ani „suchymi kartoflami,“ służącymi za pokarm magnatom rolnym Prus. O ile sobie przypominam, kapitał ruchomy liczy w Niemczech aż 7 tysięcy milionerów. To też narodowi liberałowie urządzili się bardzo zręcznie. Postanowili bronić tylko agraryuszów, po dokonanej zaś wyprawie na złote runo w myśl umowy podzielić się zdobyczą. A przypadający na nich udział jest bardzo sutą porcyą. Jeden z fabrykantów niemieckich, wróciwszy z przesłuchania w ministeryum, gdzie układano projekt taryfy celnej, opowiadał, iż zdawało mu się, jak gdyby bawił w „knajpie z damską usługą“ (Animirkneipe). Tak serdecznie traktowano tam przedstawicieli nadwartości! Czyż można się łudzić, iż w tych utrzymańcach agraryuszów przemówi sumienie społeczne wobec nędzy?

Godnym współtowarzyszem wyprawy zbójeckiej jest również trzecia grupa celna— centrum. Ten obóz nawskroś idealistyczny nie dla marnego Mamona uczepił się poły agraryuszów, lecz dla osiągnięcia celów wyższych — zbawienia ludzkości. Kieruje nim w tym razie, podobnie jak w całej polityce, chęć przywrócenia tych pięknych czasów, kiedy Rzym obdarzał koronami królów, kiedy na stosach palono niewiernych i kacerzy, kiedy nauka zajmowała się objaśnieniami Pisma Św. i Arystotelesa, a masy kroczyły bez pomruku ciernistą drogą pańszczyzny. Centrum, dążąc do władzy, nie może bratać się z głodną kanalią i woli łączyć się z potężnem junkierstwem. Zwłaszcza odkiedy „Związek rolników niemieckich“ potrafił za pomocą organizacyi ekonomicznej usidlać chłopstwo i opierając się na niem, dać rządowi kilkakrotnie próby swej potęgi, junkrzy zjednali sobie serca centrum katolickiego swem powodzeniem i nieustraszoną bezczelnością.

Tak powstało potrójne przymierze zaczepno-odporne, skierowane przeciwko opozycyi, stojącej w obronie traktatów handlowych, wrogiej wszelkiemu protekcyonizmowi, a wskutek tego przy obecnych warunkach sprzyjającej zgodnemu porozumieniu się państw w sprawach handlu międzynarodowego. Tak powstała owa większość parlamentarna, licząca 300 z górą posłów, z których drobna część (60 zachowawców) tylko dla pozoru pragnie autonomicznej taryfy celnej, ułożonej niezależnie od innych państw i bez względu na ich interesy. Wprawdzie owa przewaga liczebna w parlamencie nie odpowiada bynajmniej usposobieniu większości narodu niemieckiego, albowiem ta w sposób niedwuznaczny ostentacyjny oświadczyła się za wolnym handlem. Ale przy obecnych warunkach, dzięki niesprawiedliwemu podziałowi Niemiec na okręgi wyborcze, przedstawiciele mniejszości, rozległych ale słabo zaludnionych a niekiedy wyludnionych obszarów rolnych, wodzą rej w Sejmie Rzeszy i rozporządzają większością głosów. Zamach korsarzy parlamentarnych na kieszeń i żołądek ludu tembardziej woła o pomstę do nieba, jeśli się zważy, iż junkrzy, landraci, magnaci okręgów górniczych, „właściciele kuźnic“ i księża centrowi uzyskali swe mandaty drogą ucisku, przekupstwa, matactwa i innych bezprawi, którym sprzyja ciemnota, ubóstwo i bezbronność ludu.

I na mocy tych oto mandatów poselskich, junkrzy, prowadzeni pod rękę przez pasibrzuchów narodowo-liberalnych i jezuitów katolickich, zabierają się niby Shakespearowski Shylock na podstawie swego weksla do wykrajania mięsa z serca zgłodniałego ludu.

Shylock ostrzy swój nóż, a dwaj pomocnicy, sprzymierzeńcy i wspólnicy niecierpliwie wyglądają chwili, kiedy ostrze jego zatonie w piersi ofiary — lecz oto w chwili decydującej w dramacie Shakespearowskim, zjawia się na scenie Porcya.

P. S. Z gazet dowiadujemy się iż hr. Arnim wydelegował kuzyna do Kolonii aby przeprosić ojca „cudownego dziecka“ za wyrządzoną mu niesłusznie obrazę. W istocie oddzielne wypadki nędzy, niezawinionej są możliwe i hr. Arnim gotów nieuleczalnie chorą matkę „cudownego dziecka“ oddać na swój koszt do sanatoryum suchotniczego.

Mój Boże! Czegóż się to nie robi dla wysokich cel! *H.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Boerom znowu się powiodło, od 18—24 grudnia stoczyli kilka potyczek szczęśliwych. Największą z nich i najpomyślniejszą jest zaskoczenie Anglików pod Tweefontein w Oranii: cztery kompanie angielskie zniszczone: połowa wybita, połowa zabrana do niewoli. Dowodził Boerami De-Wett. W jednej potyczce był wodzem Botha, który widocznie przedarł się przez Anglików. Anglia dostała niemiły upominek na Christmas wysyła też w styczniu nowe siły: 18000 kawaleryi, nawet z Kanady. Dotychczas nie widać w niej zwrotu ku pokojowi. Rosebery wypiera się zamiaru owładnięcia rządem. Pragnienie pokoju za to wzmaga się w obu rzeczachpospolitych; są nawet odstępcy zaciągający się do gwardyi bezpieczeństwa — z punktu widzenia angielskiego. Dyplomacya Krugera osłania tylko godność; nie zmienia biegu rzeczy. Mocarstwa zostawiają Anglii wolną rękę. Ta ręka też powali wkrótce walecznych, godnych historycznego życia Holendrów afrykańskich.

Sejm galicyjski, zwołany na 28 z. m., obradował tylko 2 dni. Zapoznał się ze swoim nowym marszałkiem, hr. Andrzejem Potockim, usłyszał z ust jego zapowiedź wielkich wymagań na lata następne, uchwalił budżet tymczasowy wybrał nowy wydział krajowy na 6-lecie,

---

a nawet śmieszność gościa i z ust jej długich, cienkich, ust pesymistki wybiegło „Aaaa...“ przeciągłe, mające wyrażać nieoczekiwaną przyjemność. Jej poklócone ze światem oczy - czarne, jakby od grubych pokładów smutku i zawiści, stały się odrobinę mniej czarnemi. A gdy się całowała z Serafiną „na powietrzu,“ a jednak życzliwie, widać było, że na nią jedna jeszcze się jako tako „godzi“ — widok jej „znosi“ — towarzystwo jej „cierpi.“

Potem bez wstępu zabrały się do oglądania szycia. Pani Marszałkowa otrzymała z Warszawy nowy krój koszul męskich, który zdawał się trafiać bardzo do przekonania Serafiny. Wdowa z pośpiechem, w którym czuć było wagę, jaką przywiązywała do swej czynności i ukontentowania ubóstwa, któremu się zdarza rzadka sposobność wypłacenia się czemkolwiek bogatym — pokazywała Serafinie główne cięcia, ta zaś uczyła się z udanem ożywieniem i skwapliwością, podnosząc umyślnie tym sposobem w oczach wdowy wartość i rozmiary jej maleńkiej przysługi.

Serce miewa czasem takie hipokryzye...

Dopiero po tak sztucznie zaciągniętym długu wdzięczności przystąpiła do celu swych odwiedzin. Przedewszystkiem miała nadzieję, że „pani Marszałkowa zrobi im ten „zaszczyt“ i raczy zjeść z nimi obiad.“ Z powodu odpustu mieli u siebie parę osób „godnych jej towarzystwa.“

Pani Marszałkowa uprzejmie skłoniła głowę i zdawało się przytem, że uchylił się koniuszek tego kiru, którym twarz jej była zawsze pokryta.

— A następnie — mówiła młoda kobieta cicho, prędko, z oczami spuszczonemi, jakby kłamała - ona musi się uciec do łaski pani Marszałkowej... w ogrodzie dojrzało mnóstwo malin... ona sobie sama nie da rady... rzecz główna, że nie potrafi... Jedna tylko pani Marszałkowa posiada wyjątkowy sekret smażenia tego owocu... Gdyby pani Marszałkowa raczyła jej w tem dopomódz!..

Serafina, zawołana gospodyni i pracowita, jak mrówka — rady ni pomocy nie potrzebuje... Pani Marszałkowa wie dobrze, że to są pobożne kłamstwa. Serafina rozdzieli na połowę owoc ich wspólnej pracy i lwią część jej podaruje.

Odgadła ona, że zubożałym paniom najtrudniej obejść się bez takich małych, zbytkownych przyjemności, jak kryształowy klosz ze słodyczami przy zastawie herbatniej. Ale domyślne jej serce wie także, że choć braki są przykre, datki mogą być jeszcze przykrzejsze, więc oczy jej stają się tak potulne i nieśmiałe, jak gdyby prosiły o datek, a nie ofiarowały.

W oczach pani Różyńskiej zamigotała wprawdzie żywa iskra uznania, ale uznanie to było cierpiące, zazdrosne, nienawistne i upokorzone. Strącona wielkość nie mogła darować uchybienia, zuchwalstwa pani aptekarzowej Kucz, która ją, panią Teklę z Lubieniecki Różyńską, obywatelkę i marszałkowa!.. panią z pań!.. chciała wspierać... i robiła to tak po pańsku... wykwintnie...

Tem gorzej—ach tem gorzej.

Po dumnej głowie, nizko, w milczeniu schylonej, myśli krakały jak wrony przed slotą: „Co za przewrót! — co za przewrót!“

„Dawać“ było przywilejem jej rodu. Dawały jej babki i prababki: dzieliły między uniżone mieszczki płody swych pól i sadów pasiek i obór. W krew tego rodu przeszła potrzeba podnoszących duszę, orzeźwiających wzruszeń szczodrobliwości, potrzeba tych wrażeń, które daje sercu, zapobiegnięcie czyjemuś brakowi, sprawienie komuś niespodziewanej radości i odbieranie potem zasłużonej dani błogosławieństw i dziękczynień. Dusza jej niezadowolona w tej wrodzonej, dziedzicznej potrzebie, chora była i smutna. Ona się urodziła do tych wrażeń szlachetnych i wyższych, one się jej z prawa należały. Tymczasem los nałamywał jej serce do nienawistnych dla niego, obcych, nowych i ciężkich uczuć wdzięczności! Ona musi brać! — dziękować — być wdzięczną — uwielbiać — być obdarzaną — i przez kogo? — przez panią aptekarzową Kucz!—

. . . .

Tymczasem na propozycyę się zgadzała.

zapobiegł interpelacyi Stapińskiego o Wrześnię oświadczeniem zbiorowem, odczytanem d. 30 z. m. przez ks. Jerzego Czartoryskiego — i rozszedł się do Wielkiejnocy zapewne. *Norddeutsche Allg Ztg.* nie wytrzymała: dotknięta oświadczeniem, wskazuje rządowi austryackiemu konieczność uzupełnienia ustawy sejmu galicyjskiego. Ujęcie się za krzywdą wyrządzoną rodzicom i dzieciom polskim było wtrąceniem się w sprawy wewnętrzne, ale nie jest niem wzywanie rządu austryackiego do zniesienia wewnętrznych autonomicznych porządków. Rząd austryacki już i tak ulega kochanemu sprzymierzeńcowi. Znowu w Pradze zabronił wiecu zwołanego przez Kaftana.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

Przyszły historyk rozwoju polityczno-społecznego Galicyi znajdzie się w niełada kłopocie, chcąc dać wyczerpującą charakterystykę księdza Stanisława Stojałowskiego i wytłomaczyć całą jego działalność. Tyle bowiem jest zagadkowego w przeszło trzydziestoletniej pracy tego dziwnego demagoga, tyle w niej skoków nieprzewidzianych, zwrotów niekonsekwentnych i łamańców kuglarskich, że trzeba się będzie uciec do ryzykownych hypotez psychologicznych, ażeby przedstawić dokładny obraz działalności jego na tle nastroju tych grup społeczno-partyjnych, z któremi się stykał. Jeśli sobie uprzytomnimy wszystkie ogniwa tego długiego łańcucha, za którego pomocą ksiądz Stojałowski przykuwał do swej osoby ufność i oddanie mas ludowych, będziemy mieli przed sobą coś zaiste niesłychanego. Płomienne mowy, elektryzujące masy — i wzywania do składek na „lampy jerozolimskie," portrety, obrazy, wydawnictwa, które nigdy do skutku nie dochodziły; wywoływanie prześladowania ze strony władz krajowych i duchownych—i haniebne wysługiwanie się tym władzom i korzenia się przed niemi za byle nędzny ochłap; niezmordowana praca w interesach najbardziej upośledzonych warstw ludowych — i sprzedawanie swych wiernych zwolenników temu, kto da więcej; słowa gorącego patryotyzmu i cyniczne sprzeniewierzanie się hasłom narodowym—oto znamienne cechy polityki księdza Stojałowskiego, oto środki, za których pomocą dotychczas jeszcze odgrywa rolę osobistości wpływowej i ważącej na szali wypadków. Charakterystyczne nad wyraz są sojusze, jakie Stojałowski ustawicznie zawiązuje i zrywa, ażeby tylko co zerwany zastąpić innym, posiadającym wręcz przeciwległy charakter.

Najdawniejszym sojuszem księdza Stojałowskiego było współżycie polityczne ze „Związkiem chłopskim," przez niego samego wytworzonym. Zgodne współżycie trwało jednak dość krótko, albowiem bracia Potoczkowie — bogaci chłopi, którzy się wysunęli na czoło tej konserwatywnej organizacyi chłopskiej, bardzo prędko tak zadarli ze swym kierownikiem w sutannie, że ten w swych gazetach — *Wieńcu i Pszczółce* — zaczął ich tytułować... świniami. Rozczarowany do religijno-konserwatywnego odłamu chłopów galicyjskich, Stojałowski zwraca się do bardziej radykalnych środków i zawiera z nimi sojusz przed wyborami do sejmu lwowskiego w r. 1895. Ale i ludowcy nie długo cieszyli się sojuszem ze Stojałowskim, bo już w r. 1896 — przed wyborami do parlamentu — Stojałowski zrobił parę dużych kroków na lewo i znalazł się w jednym szeregu z socyalistami, z którymi w sojuszu przeprowadził kampanię wyborczą w marcu 1897 roku, ażeby w parę miesięcy potem wypowiedzieć im bój nieubłagany. Następuje okres konszachtów z rządem, opuszczenie szeregów stojałowczyków przez Danielaka i Szpondra, zbliżenie się do stronnictwa *Hatyczanyna* i rezultat tego — garść procesów skandalicznych, gruntownie podkopujących wpływ księdza-redaktora po miastach. Zdawało się, że już rola polityczna Stojałowskiego skończona, aż tu nagle wypływa na widownię zaczepno-odporny sojusz Stojałowskiego z ludowcami, budzący niesmak we wszystkich przezorniejszych politykach galicyjskich. Zresztą sojusz ten trwał jeszcze krócej od innych — i oto ksiądz Stojałowski rzuca się w objęcia stańczyków i staje się poprostu narzędziem w ich ręku do zwalczania ludowców i partyi robotniczej. Posłowie wybrani pod jego patronatem, wchodzą bez zastrzeżeń do Koła. Zaczynają szerzyć się pogłoski, że ksiądz Stojałowski otrzyma z rąk stańczyków tłuste probostwo w nagrodę za utratę mandatu. Tymczasem ten ostatni sojusz księdza nie zamknął bynajmniej jego działalności publicznej, jak się tego spodziewano, nie odebrał mu ochoty do zawiązywania nowych sojuszów, a nawet wytwarzania nowych partyi.

Na widowni polityki galicyjskiej ukazała się bowiem nowa grupa, reprezentowana w parlamencie wiedeńskim przez „centrum" Koła Polskiego, a w sejmie lwowskim przez „Chrześciańską unię ludową." Inicyatorem i życiodawcą nowej grupy był ksiądz Stojałowski, który z właściwym sobie sprytem połączył w niej bardzo odrębne żywioły. Na razie jeszcze nie wiadomo, jacy posłowie utworzą sejmową „Unię chrześciańsko-ludową," ponieważ ta się dotąd nie zdążyła ukształtować, ale do „centrum" parlamentarnego weszło już dwunastu posłów. Znajdujemy w niem więc czterech chłopów stojałowczyków — Bombę, Fijaka, Szajera i Wilka, prawie wszystkich księży z Koła — Pastora, Włazowskiego i Żygulińskiego, reakcyjnie usposobionego nauczyciela ludowego — Wojtygę, przeciwko któremu głosowali podczas wyborów wszyscy nauczyciele ludowi, przywódcę „Związku chłopskiego," Jana Potoczka oraz hr. Jana Potockiego. Co łączy wszystkich tych ludzi w jeden obóz — nikt tego nie zdoła powiedzieć — dość, że tworzą „centrum" i posiadają coś w rodzaju programu, składającego się z pięciu punktów. Zdaje się, że całą tę maskaradę ksiądz Stojałowski obmyślił jedynie w tym celu, ażeby w razie zarzutów, że posłowie-stojałowczycy wysługują się stańczykom, módz wskazać, że przecież należą do samodzielnej frakcyi. Stojałowski już potrafi wytłomaczyć swoim zwolennikom, że reakcyoniści z „centrum" nie są żadnymi stańczykami, lecz tylko najszczerszymi obrońcami praw ludu. Gwoli temu ułożono i program „centrum," w którym ono oświadcza, że stoi na gruncie encykliki Leona XIII, że się będzie „starać" o usunięcie różnych krzywd ludu i „popierać różne dążenia w tym kierunku oraz domagać się „sprawiedliwego rozszerzenia" prawa wyborczego. Naturalnie że pod takim programem może się podpisać każdy—od Wojciecha Dzieduszyckiego, aż do ludowca, gdyż program ten w gruncie rzeczy do niczego nie obowiązuje, albowiem nic określonego

---

Będzie smażyć maliny! i z wielką chęcią pojedzie na proszony obiad — niech tylko Serafina, która własnym przyjechała szarabanikiem, chwilkę poczeka, ponieważ trzeba jeszcze dokończyć stembenka w tym oto, na jutro obstalowanym kołnierzyku.

Wówczas Serafina, pocałowawszy ostrokończaste ramię przez zrudziały tybet kaftanika, prosiła, aby jej wolno było pracy tej samej dokończyć.

Ona potrafi... prosiły jej oczy. Te oczy szeroko otwarte były zupełnie jak wielkie barwinki w trójkątnej nieco oprawie, a miały zwyczaj wlepiać się w przedmiot z takim wyrazem, jakby badały: „co ci też dolega?" — „w czemże by ci można dogodzić?", przyczem unosiły się w górę dwie ciemne brewki, jak dwie cienkie linijki, pociągnięte tuszem.

Twarz jej, ściśle biorąc, nie była ładna — rysy miała nieregularne, niby powstrzymane w rozwoju, czoło ogromne po dziecinnemu wypukłe i nosek mały, dziecięcy—ale w idealnie narysowanym owalu tej twarzy tkwił wdzięk słodyczy nieopisanej, kąty ust blado-różowych rozwiewał uśmiech tajemniczy, nadając jej wyraz istoty nie z tego świata: taką twarz mogłaby mieć Psyche chrześciańska.

To też nawet pani Różyńska zniewoloną się czuła przebaczyć jej tę dobroć. Skinęła głową z uśmiechem, oddała w jej ręce robotę, zdjęła okulary, a wziąwszy jakieś rzeczy, poszła się przebrać do kuchni, gdyż wstydziła się swej starej bielizny.

W kuchni stangret Serafiny znosił z wózka różne przywiezione zapasy: jarzyny, drób, nabiał i owoce, zwykłą dostawę z apteki, bez której byt pani Różyńskiej byłby prawie niemożliwym. Prawda, że za to zobowiązała się obszywać rodzinę Kuczów — i w rzeczy samej w ciągu roku dawano jej do zrobienia jedną lub dwie sztuczki dziecinnej bielizny.

. . . .

W pokoju, w którym Serafina została, szyjąc, było zupełnie cicho... Po chwili dało się słyszeć otwieranie drzwi w pokoju sąsiednim, skrzypienie obuwia, kroki lekkie i suwanie krzesłami, a nakoniec, przytłumione zrazu gwizdanie, które wśród ciszy mieszkania, coraz głośniej, śmielej, srebrzyściej zaczęło powtarzać aryę: „Ale w niebie mój aniele..."

Gdy pani Różyńska, już ubrana do wyjścia stanęła w progu, spojrzenie jej, padając na tezamknięte drzwi, wyrażało tyle troski i badawczości, tak pełne było cierpienia i dumy, że pytać nie trzeba było, kto się za temi drzwiami znajdował. Nikt inny tam być nie mógł, tylko syn — jej jedyny syn Antoni.

. . . .

— Nie może być?.. Antoś.. przyjechał!.. i kiedyż?.. i nic mi też pani nie mówiła!.. A z patentem?—żywo zapytała Serafina.

— O naturalnie... z patentem... — rzekła, podnosząc zlekka głowę—myślałam, że się już pani przedstawił... właśnie powrócił z apteki.

— Taak... a tośmy się rozminęli... Co za radość... droga pani!.. Teraz pani dobija już do lądu... syn szkoły skończył... Bogu dzięki... Teraz się zaczną dla pani lata szczęścia! — mówiła se śliczną, promienistą zadumą w oczach. Widać było, że dusza jej w tej chwili nie była u siebie „w domu,"—piła słodycz u źródeł cudzego życia.

— Szczęście!.. —jak podziemne echo powtórzyła za nią Różyńska:

Ona tego wyrazu tak nie lubi... tak się go przesądnie boi... Widziały już stare jej oczy tyle, tyle tych szczęść!.. i cóż się z niemi stało?.. gdzież się podziały?.. Żadne nie ostało się przed zniszczeniem. Czas zmiótł je wszystkie po kolei z powierzchni ziemi. Każde zamieniło się w żałobną perzynę wspomnienia, w rozpacz i żal.

Kto wie, czy i to na marne nie pójdzie? — powtarzała w duchu ze smutnem wstrząsaniem głowy, idąc naprzód i wiodąc za sobą gościa do pokoju syna. Otworzywszy drzwi, przystanęła i postać syna ogarnęła spojrzeniem... pełnem trwogi zabobonnej, podejrzliwem, niespokojnem... w którem tryumf splatał się ze zwątpieniem, surowość bratała się z pieszczotą.

nie zawiera. Jedynym wyraźnym punktem jest drugi, oświadczający się przeciwko gminom zbiorowym, a za połączeniem obszarów dworskich z gminami.

Nowy ten sojusz, tak samo jak i poprzednie, ma na celu kogoś okpić. Przedewszystkiem lud t. j. tę część jego, która dotychczas jeszcze trzyma się księdza Stojałowskiego, następnie konserwatystów, którzy zresztą przystąpili do „centrum" w nadziei, że się im może uda okpić Stojałowskiego. Prawdopodobnie jednak się omylą gdyż Stojałowski jest zanadto doświadczonym w tych sprawach, ażeby się pozwolił wystrychnąć na dudka. Już obecnie, a więc w kilka dni po zawarciu nowego sojuszu, ksiądz Stojałowski kazał wygłosić swemu zastępcy następujące słowa: „Gdybyśmy odtąd zgodnie poszli, pokonalibyśmy wszystkich wrogów ludu, ale gdyby duchowieństwo skorzystało z unii, chcąc chłopów usuwać i nasze stronnictwo rozbić, toby przyjść musiało do nowych zatargów."

Znaczy, że Stojałowski, otrzymawszy to, co mu się należy za wypożyczenie pionków-posłów reakcyonistów, w każdej chwili gotów jest ich wycofać. Z zadowoleniem jednak można dziś stwierdzić, że każdy nowy skok polityczny Stojałowskiego pozbawia go coraz bardziej wpływów wśród ludu. Widać ze wszystkiego, że już resztkami goni, że dba obecnie tylko o zysk materyalny, którym się dzieli z różnemi indywiduami podejrzanej moralności w rodzaju głośnego niegdyś w Krakowie — dr. Józefa Orłowskiego — dziś doradcy i kompana, dogorywającego politycznie, demagoga w przybrukanej sutannie. Może więc niedaleko już ta chwila kiedy urok Stojałowskiego pryśnie ostatecznie wśród ludu zachodnio-galicyjskiego, jak rozwiał się całkowicie na Śląsku Cieszyńskim wskutek spotęgowanej pracy jego „sojuszników" z roku 1897-go.

Kiedy ruch chłopów Galicyi zachodniej, szarpany walkami, staczanemi przez osobne odłamy obozu ludowego, coraz bardziej łączy się pod kierunkiem stronnictwa ludowców na niekorzyść innych dążności — jedyna partya chłopska Galicyi wschodniej — rusińska radykalna — przechodzi okres ciężkiego przesilenia. Uwydatniło się to na ostatnim zjeździe tej partyi w połowie grudnia we Lwowie. Naradzano się głównie nad tem, w jaki sposób da się ożywić zamarły w ostatnich czasach ruch chłopów w Galicyi wschodniej. Wybitnem zajściem tego zjazdu było odczytanie listu p. Michała Pawlika, długoletniego kierownika, jednego z założycieli i najwybitniejszej siły literackiej stronnictwa radykalnego. W liście tym p. Pawlik zawiadomił o swej rezygnacyi z godności członka zarządu i o wycofaniu się z życia publicznego.

O ile w życiu społeczeństwa polskiego Galicyi dotychczas jeszcze nad wszystkimi wypadkami dnia góruje Września i wywołane przez nią projekty, o tyle w społeczeństwie rusińskiem nie schodzi z porządku dziennego sprawa uniwersytetu rusińskiego i secesyi studentów Rusinów.

Wskutek wysoce nietaktownej odezwy senatu wszechnicy lwowskiej studenci-Rusini postanowili opuścić uniwersytet lwowski i przenieść się gdzieindziej. W ciągu kilku dni wypisało się z uniwersytetu 460, z których część udała się do Wiednia, część do Krakowa, reszta zaś do Czerniowiec. I w Krakowie, i Wiedniu przyjęto ich bez żadnych przeszkód, jedynie uniwersytet czerniowiecki, twierdza szowinizmu niemieckiego, dał zgłaszającym się odpowiedź odmowną. I ci więc podążą do Krakowa lub Wiednia.

Ma się rozumieć, że całe społeczeństwo rusinskie poparło ten krok młodzieży i przyszło jej z pomocą materyalną. W kilka dni zebrano 14,000 koron. Chłopi rusińscy, jak również i robotnicy, nadsyłają pieniądze do pism rusińskich na ten cel. Niebywały entuzyazm ogarnął całe społeczeństwo rusińskie. Nawet starorusini, z zasady wrogo usposobieni względem żądania uniwersytetu rusińskiego, zaczęli w swych organach udawać, że współczują z ruchem młodzieży przeciwnej im pod względem przekonań.

Obecnie nie czas jeszcze na ułożenie bilansu całej tej przykrej sprawy; jedno tylko można powiedzieć, że przyczyniła się ona do gwałtownego pogłębienia i tak już niemałej przepaści, oddzielającej wzajemnie dwa społeczeństwa, skazane przez losy historyczne na współżycie na jednej ziemi. Przepaści tej nie zdołają wypełnić sprawiedliwe głosy polskiej prasy robotniczej, oraz te dowody sympatyi, jakie otrzymują studenci rusińscy od młodzieży postępowej nietylko z Galicyi, ale i z Paryża, Genewy, Lipska, Monachium, Berlina i innych miast uniwersyckich o licznych polskich koloniach studenckich.

To stanowisko, jakie zajęła w kwestyi żądań rusińskich polska młodzież postępowa, daje nam rękojmię, iż ideały hakatystyczne, głoszone przez taki „Wiek XX" z iście schonererowskim cynizmem pod dewizą: „Pal go w łeb!" *), nie znajdą szerszego odgłosu w młodem pokoleniu lub bodaj w najlepszej jego części.

Świeżo założono nowe ognisko tej młodzieży we Lwowie, stowarzyszenie „Wspólna nauka," którego wieczór nauguracyjny odbył się niedawno przy bardzo licznym udziale polskiej i rusińskiej młodzieży postępowej płci obojej. Po wieczorku odbył się „komers," na którym przedstawiciele wszystkich zakładów naukowych oraz innych stowarzyszeń i grup młodzieży postępowej wypowiadali mowy o zadaniach nowego stowarzyszenia. Mówcy Rusini dali wyraz swemu zadowoleniu i szczerej wdzięczności za to stanowisko, jakie polska młodzież postępowa zajęła w kwestyi rusińskiej wogóle, a w sprawie uniwersytetu rusińskiego w szczególności.

Sejm galicyjski, który się ma zebrać na króciutką sesyę, jest obecnie przedmiotem polemiki prasy — głównie z powodu sprawy wrzesińskiej. Koło wiedeńskie usiłuje wszelkimi sposobami nie dopuścić do roztrząsania w sejmie barbarzyństw pruskich, ponieważ rząd austryacki (właściwie minister Gołuchowski) tego sobie bardzo nie życzy. Natomiast czynniki demokratyczne domagają się szerokiej, wyczerpującej dyskusyi w tej sprawie i reakcyoniści zapewne nie będą mogli zupełnie zatamować wylewu uczuć oburzenia.

Daleki.

RUSKIN HALL.

Każdy terminator szewcki, każdy kominiarz i każda kucharka w Oksfordzie wiedzą, kto jest Ruskin. Jest to założyciel owej instytucyi, która w jednej z bocznych uliczek mieści się w małym, niepokaźnym gmachu, wstydliwie otulonym w płaszcz z winorośli. Urzędowa nazwa brzmi „Hala Ruskina," lud zaś ochrzcił go „Uniwersytetem pracy" (The Labor's College). Pomimo tego przydomku, instytucya różni

*) W „Wieku XIX" z d. 13 grudnia.

Dwudziestoletni młodzieniec siedział przy prostym, czarnym stole, i gwiżdżąc, pracował nad rajzbretem, na którym rozpięta była robota mozolna rysunku technicznego.

Na tem twardem i zimnem tle ścian bielonych, wśród prostych, czarny sprzętów ta postać młodzieńcza tak piękna, świetna i wytworna robiła wrażenie niezwykłe: zdawała się siać blask i mienić się w oczach.

Niepodobna byłoby wymarzyć głowy piękniejszej nad tę, która w tej chwili pochylała się nad rajzbretem. Do koła ust zesznurowanych, ledwie się puszczał jedwabny, ciemny meszek. Czarne, faliste włosy misternie wycinanemi schodkami obejmowały czoło, wesołe i śmiałe, a w tej oprawie twarz świeża i jasna lśniła się jak róża miesięczna przy ciemnym, twardym, błyszczącym liściu.

Nawet wady w rysunku tej twarzy wychodziły na jej korzyść. Charakter gwałtowny zdradzały usta, zbyt wysunięte przez szczęki wydatne i silnie rozwinięte. Męska surowość, coś z żołnierskiej ironii taiło się w dwu bróżdach, od wewnętrznych kątów oka do dolnej szczęki przecinających policzki białe i puszyste.

Ale z wyrazem ust i policzków sprzeczały się oczy jasno bronzowe, duże, wypukłe, nawskroś przesiąknięte jakąś białą światłością, które spojrzeniem „skarbiły sobie łaskę" — „wdzięczyły się" i „przymilały" do całego świata — albo pływały w jakiejś nieokreślonej, niby miłosnej błogości, która u młodych nie wyraża nic innego, jak fizyologiczną rozkosz życia. Ach, bo wtenczas... fala tego życia się podnosi... przypływ jej najwyższy trzyma nas jeszcze wysoko po nad mieliznami i rafami, o które później rozbijamy się schorzali i szpetni!

Rozkosz może być jeszcze nieobecna, lecz organizm czuje ją w sobie, jako siłę „in potentia," która ze stanu uśpienia w każdej chwili może przejść w stan czynny i na naprężonych nerwach gra ciągłą pobudkę.

Powstał, gnąc się w stanie i krzyżując nogi, jak baletnik, w pozie wytwornej i zarazem niedbałej — a ciało jego smigłe młodzieńcze i harmonijne gibkością członków i lekkością ruchów, zdradzało tęgość i siłę, urodę realną podnosiła idealna piękność głowy.

— Jaki on też śliczny, ten Antoś! — zawołała dobrodusznie. Istny Cherubin! Szczęśliwa z pani matka, pani marszałkowo! że posiadasz takie dziecko!.. takiego młodzieńca — poprawiła się szybko.

I tak wypowiadała głośno swój zachwyt naiwny, jak gdyby stała w swym ogródku przed pniem różanym, na którym świeżo kwiat rozkwitł.

Zmieszał się bardzo tem powitaniem piękny Antoni i twarz jego stała się z białej ponsową.

— Antosiu! czy poznajesz panią Serafinę?..

Na dźwięk tego imienia uczuł w duszy dawno niegdyś znaną słodycz... Żywo stanął mu w oczach ten wieczór z przed dziesięciu laty, ostatni spędzony w Zwoleńcach, gdy w przeddzień wyjazdu do szkół wracał od Serafiny, obładowany upominkami. Ale w tej chwili poznać jej nie mógł, dla tej prostej przyczyny, że jej nie widział. Miłość własna, upojona hołdem, oddanym tak jawnie piękności jego przez kobietę, mgłami zasłoniła mu oczy. Stał, milcząc, z głową pochyloną, w pół zgięty w wykwintnym ukłonie. Serafina podała mu rękę, której on „niedotykalnie" dotknął ustami, ona zaś powiodła nią parę razy po jego czole i włosach z gestem młodej macochy lub starszej siostry.

Czuła, że ma prawo tak go powitać. Mimo twarzy i figury dziewczęcej, była kobietą dojrzałą, trzydziestoletnią, od lat dwunastu zamężną, matką trzech córek, kochającą i wierną żoną, kobietą w myślach nawet nieskazitelną. Znała go przytem od dzieciństwa i nieraz wyręczając Marszałkowa, strofowała, karmiła go i uczyła, a teraz cieszyła się nim, jak własnym synem.

(C. d. n.).

się znacznie od analogicznego „Uniwersytetu ludowego“ t. zw. University Extension. Podczas gdy ten daje słuchaczom kwintesencyę wiedzy w skróceniu i z tej racyi jest jakby surogatem teoretycznym wyższego wykształcenia, to instytucya Ruskina usiłuje stworzyć obywateli i działaczy politycznych, wtajemniczając wychowańców swych w budowę i działalność mechanizmu społecznego i państwowego. A, że w Anglii lud pracujący często bywa powoływanym do obsługiwania tej maszyny na bardzo wybitnych i odpowiedzialnych posterunkach, więc zakład spełnia poważne zadanie, uprzystępniając prostakowi i biedakowi znajomość stosunków i instytucyj społecznych. W tym celu Hala Ruskina nietylko daje mu do rąk abecadło umiejętności politycznych, ale zarazem używa wszelkich metod aby wyprowadzić go na szerokie pole spraw politycznych i rozszerzyć jego widnokrąg umysłowy, zacieśniony troskami i kwestyami codziennemi, poziomemi.

Program naukowy obejmuje przedewszystkiem przedmioty natury ogólnej, a zatem socyologię, historyę Anglii, zwłaszcza polityczne prawo państwowe, ekonomię polityczną, filozofię (etykę, psychologię, logikę) i literaturę angielską. Szczególny nacisk natomiast kładzie Hala Ruskina na wiadomości obchodzące bliżej wyrobnika, jako członka stowarzyszeń zawodowych. Tu zaznajamiają go z przewrotem przemysłowym, dokonanym przez maszynę, ze stowarzyszeniami spożywczemi i zawodowemi oraz ruchem społecznym. Mniej idzie w danym razie o fakty i szczegóły, ile o obraz ogólny, punkty wytyczne, ducha danej dziedziny i nić Ariadny, która pozwoli wychowańcowi oryentować się w oddzielnych zjawiskach napotykanych w przyszłości. Hala jest zatem nietylko zakładem naukowym ale przedewszystkiem przybytkiem wychowawczym dla działaczy pochodzących z ludu.

Zobaczymy teraz jakimi środkami zmierza ona do swego celu. Pierwszy sposób nauczania, pomysłowy oryginalny i zastosowany do warunków życiowych żywiołów, mających czerpać tu wiedzę, polega na „Szkole korespondencyjnej.“ Szkoła ta uczy na odległość posługując się pomocą listonosza. Dokąd ma wstęp poczta, tam przenikają promienie oświaty ze „Szkoły korespondencyjnej.“ Lud, zaprzątnięty przez cały dzień pracą, nie może, pozostającego mu wieczora, całkowicie poświęcić sprawie nauki. Co innego zaś wykład nauki, który można rozłożyć sobie i urządzić jak się komu podoba.

Przytem korespondencya w niczem prawie nie ustępuje lekcyom wygłaszanym ustnie i osobiście. Przedewszystkiem korespondent szkoły otrzymuje „tekst,“ bądź zawierający ustęp z literatury odnośnej, bądź też oryginalnie opracowany w sposób odpowiedni. Dołączone są wskazówki dotyczące sposobu uprawiania studyów. Tekst jest podzielony na części tygodniowe. Z każdego oddziału „słuchacz“ jest obowiązany przygotować skrócenie schematyczne, a co miesiąc, nadto, opracować ćwiczenie na temat pokrewny wykładowi. Ćwiczenie przegląda szkoła i zwraca je z porobionemi przez korektora uwagami. Kurs trwa odpowiednio do przedmiotu. Takich korespondentów Hala Ruskina liczy kilka tysięcy, pomimo swego zaledwie półtoraroczngo istnienia. Niekiedy ci uczniowie na odległość tworzą „klasy korespondujące“ z doświadczonym akademikiem kierownikiem na czele, pośredniczącym pomiędzy klasą a zakładem. W ten oto sposób apostołowie ideałów Ruskina głoszą na poddaszu i w suterenach swe słowo boże harmonijnego ukształtowania stosunków społecznych.

Punkt ciężkości „Hali“ spoczywa w propagandzie listownej. Obok tego jednak umożliwia ona bezpośrednie grzanie się u ogniska wiedzy, gdyż służy również jako uniwersytet i pod tym względem kopiuje wzory wszechnic angielskich z tą różnicą, iż wszystko ma tu charakter ludowy. Zakład jest połączony z internatem, w którym pobyt wraz z wiktem i wpisem kosztuje miesięcznie na nasze pieniądze około 25 rubli—suma jak na stosunki angielskie bajecznie nizka. Oczywiście niełatwo wyrobnikowi zdobyć się na tę nawet kwotę, wskutek czego liczba wychowańców jest niewielką, a pobyt w zakładzie trwa przeciętnie trzy miesiące, pomimo iż program właściwy jest obliczony na rok pobytu i trzy lata korespondencyi. Zakład oczywiście udziela stypendyum i robi wszelkie ulgi.

W tych warunkach „Hala Ruskina“ jest zwiedzaną nietyle przez ludzi pracy, ile przez przedstawicieli najrozmaitszych klas społecznych, którzy chcą poświęcić życie swe ludowi. Tu przybywają ci, którzy po opuszczeniu zakładu roznoszą na wszystkie strony ewangelię Ruskina, bądź zakładając na własną rękę miniaturowe „Hale,“ bądź przyjmując na siebie rolę nauczycieli wędrownych.

Co się tyczy wykładów, obowiązuje tu program wyżej wyłożony, ale oczywiście przy bezpośredniem stykaniu się docentów i słuchaczy łatwiej da się uwydatnić i przeprowadzić charakter praktyczno-społeczny. Przy każdej sposobności wysuwa się na plan pierwszy społeczny punkt widzenia i literatura. Obok wykładów odbywają się odczyty wieczorowe często, wygłaszane przez protektorów instytucyi. Oprócz tego bywają perodyczne rozprawy naukowe, w których biorą udział przyjaciele i przyjaciółki „Hali.“ Po rozprawach następują śpiewy, deklamacye i... tańce lub też gry towarzyskie i produkcye sportowe. Na zebraniach tych, ma się lekki przedsmak czasów, które opiewał inny marzyciel harmonii społecznej, wielki wieszcz William Morris.

Muszę tu wspomnieć jeszcze o jednem urządzeniu, najwymowniej świadczącem o demokratycznym charakterze „Hali.“ W instytucyi tej niema żadnej służby i wszelkie czynności spoczywają na barkach wychowańców, niezależnie od ich stanowiska społecznego. W tym celu zaprowadza się podział pracy, przyczem każdy z wychowańców kolejno to robi zakupy na targu, to przygotowuje śniadanie, gotuje obiad, czyści lampy, myje statki itd.

„Hala Ruskina“ jest szkołą oświaty społecznej, apostolstwa i demokracyi.

Przedm.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Dziwna żałoba.

Od paru tygodni mówi o nas cały czytający gazety świat. Rozgłos ten zawdzięczamy hr. Józefowi Potockiemu, który w wiedeńskim Jockey klubie przegrał olbrzymią sumę, dotąd wszakże nieoznaczoną jeszcze ściśle przez historyków tego zdarzenia: według jednych ma ona wynosić 3,200,000 koron, według innych 800,000, lub 1,500,000. W każdym razie jest dostateczną, ażeby przez nią „polskie imię“ rozbrzmiało szeroko i daleko, oraz ażeby sprawiedliwość sądowa w Wiedniu odegrała komedyę pociągnięcia całej wielkopańskiej szulerni do „surowej odpowiedzialności.“ Prasa nasza, o ile jej na to pozwala wielka wyrozumiałość dla grzechów społecznego Olimpu, wyraziła ofierze nieszczęśliwej gry albo cierpką naganę, albo też zrobiła jej żałosną wymówkę. Bez potrzeby i racyi. Hr. Józef Potocki jest tym samym bohaterem, który podejmował kilkakrotnie kosztowne wyprawy łowieckie do Azyi i Afryki, który swoje tryumfy myśliwskie upamiętnił słowem i rysunkiem w zbytkownie wydanej książce, którego zwycięstwa nad lwami i tygrysami opiewały dzienniki, objaśniające z chlubą i zachwytem, że każda z tych rozrywek kosztowała go kilkaset tysięcy rubli. Dlaczego więc czuliśmy radość wtedy, gdy te „polskie miliony“ przechodziły do rąk indusów i murzynów, a teraz czujemy boleść, gdy one przeszły do rąk magnata węgierskiego — trudno pojąć. Czy dlatego, że walka tam trwała miesiące, a tu „zaledwie pół godziny“ i że w niej nie zginęło ani jedno dzikie zwierzę? Dziwna logika, zwłaszcza w ustach wyznawców zasady, że własność jest „prawem używania i nadużywania“ rzeczy“ i że hr. P. ma według nich — tej własności w samych dobrach wołyńskich na sto milionów rubli i kilka milionów dochodu. A może zubożona tą stratą nasza filantropia dostała kurczów serca? Cóż znowu? Przecież ta szarytka społeczna nie korzystała z hojności sławnego pogromcy lwów i członka Jockey Klubu, a nawet wogóle nie ma bliższych stosunków z naszymi arystokratami. Niech się zatem elegiści uspokoją: nie stało się nic takiego, coby wykroczyło z ustalonej normy, nic, coby rozczarowało ogół ze złudzeń, nic, coby poderwało ich wiarę i zgasiło nadzieję. Polscy magnaci przegrywali daleko większe stawki, daleko cenniejsze klejnoty — i społeczeństwo przebaczyło im wszystkie te hazardowne gry — skądże nagle dziś taka surowość? Zdejmijmy żałobę po wypadku wiedeńskim, skoro jej nie wdziewaliśmy po daleko ważniejszych.

Atak os.

Wiadomo, że każdy teatr jest pasieką os: ile w nim ludzi, prawie tyleż ulów, z których wylatują, brzęczą i kąsają złośliwe owady. Doświadczył tego znakomity śpiewak, p. Bandrowski. Podczas swej pierwszej u nas gościny, która nie budził jeszcze obaw wejścia do pasieki, użył grzmiących uwielbień. Ale gdy przyjechał powtórnie, gdy zwietrzono, że może być przyjęty na stałe, wszystkie męskie ule operowe, zagrożone współzawodnictwem, wyroiły się i zaczęły kłuć żądłami niepożądanego przybysza. Od kilku tygodni Warszawa huczy ciałe sejmem os strwożonych i gniewnych. Rzeczywiście p. Bandrowski jest natrętem niepożądanym: śpiewa pięknie, deklamuje wytwornie, gra doskonale. I jak gdyby tego wszystkiego było nie dosyć, podobno łamie zacny zwyczaj odstępowania części swego miodu trutniom. Pomimo że są to grzechy wielkie, mamy jednak nadzieję, że dyrekcya się wzniesie po nad owadzie zawiści i p. Bandrowskiego skontraktuje na stałego członka opery, w której mamy za dużo głosów wątłych i przedętych, nieuzupełnionych ani artyzmem, ani dbałością o swojski charakter sztuki. Nie zapominajmy, że Warszawa zbliżyła się już do 700,000 ludności, że jest siedemnastem z kolei miastem w Europie i że chociażby z tego tytułu ma prawo do posiadania większych talentów śpiewaczych. Inwalidzi już jej nie wystarczają.

Ujawniona zasługa.

Dowiedzieliśmy się nareszcie, jacy to orędownicy przemysłu krajowego prosili ministeryum skarbu o nałożenie cła na książki polskie, drukowane za granicą. Są to drukarze częstochowscy: M. Stochelski oraz Kohn i Oderfeld. Albo te trzy fiołki

tak długo ukryte w trawie nie są jedynymi i należą do większej kępki, albo trudno im przyznać poczytalność w spełnionym czynie. Za granicą bowiem tłoczono książki polskie tylko w wydaniach ozdobniejszych; tymczasem nie słyszeliśmy nigdy, ażeby warsztaty pp. Stochelskiego, Kohna i Oderfelda wypuściły w świat bodaj arkusz tego rodzaju. Wogóle o działalności tych firm nic nie wiemy, przypuszczamy więc, że fabrykują one towar pośledniejszy, jarmarczny. Jakiegoż tedy uszczerbku doznawał ich interes ze strony papierni i drukarni zagranicznych? To już nie egoizm, ale zuchwałość. *Kuryer Codzienny* ma nadzieję, że cło będzie złagodzone ulgami, a jedną z nich nawet przytacza. Pomimo wszakże starań księgarzów zagranicznych i warszawskiego oddziału Towarzystwa przemysłu i handlu, wątpimy, ażeby w tej sprawie, rozstrzygniętej ostatecznie, dały się osiągnąć poważniejsze ustępstwa. Zasługa rycerzy częstochowskich pozostanie na długo niewzruszoną.

Hygieniczny szpital.

Wielokrotnie słyszeliśmy zapewnienia, że w nowozbudowanym szpitalu Dzieciątka Jezus uwzględniono wszelkie nowoczesne postępy techniki i wymagania hygieny. Ogólnikowe to zapewnienie wyilustrowano w *Kuryerze Warszawskim* bardzo wymownym przykładem. Mianowicie, w jednej części szpitala znajduje się szereg komnat, w których leżą trupy, a po drugiej stronie korytarza równoległy szereg mieszkań dla służby. Przez otwarte okna trupiarni wydobywają się na ulicę wonie gnijących ciał; jest to dokuczliwe, ale przynajmniej przechodnie mogą unikać zapowietrzonego miejsca. Natomiast nie mogą uniknąć zabójczych wyziewów służący szpitalni, skazani na okropne sąsiedztwo, zwłaszcza w zimie, gdy wszystkie zewnętrzne otwory ich mieszkań są szczelnie zamknięte. Komu przyszedł do głowy pomysł podobnego urządzenia, nie badamy, chociaż on doskonale znamionuje nasze lekceważenie zdrowia ludzi, niemających szczęścia zajmować tych stopni społecznych, od których zaczyna się prawo do hygienicznych warunków życia. Ale czyż podobna potworność może istnieć dalej? Gospodarze domów, wyznaczający stróżom mieszkania przy ustępach, bywają słusznie karani; a czyż instytucya publiczna powinna dopuszczać się tortury daleko okrutniejszej? Zdaje nam się, że trzeba co prędzej rozdzielić żywych i umarłych, a wyziewy trupiarni odprowadzać kanałami w górę, zamiast oknami na ulicę.

Jubileusze.

W ostatnich dniach ubiegłego roku święciliśmy dwa jubileusze, które dość żywo poruszyły nasz ogół inteligentny. Jeden z nich—to 80-lecie narodzin sędziwego historyka dziejów i literatury, językoznawcy i dramatopisarza—Antoniego Małeckiego. Z dwu względów należy się Małeckiemu hołd zasłużony: jako historyk literatury, zapisał się chwalebnie wyborną monografią o Słowackim, która uchodziła i długo jeszcze uchodzić będzie za wzór niedościgniony tego rodzaju utworów, pomimo, iż autor „Listu żelaznego" znalazł tu następcę w osobie p. Hoesicka; jako badacz języka ojczystego położył on w „Gramatyce języka polskiego" niepożyte zasługi. Zapewne podstawy, na których Małecki oparł swoje dociekania, przez najnowszą wiedzę tu i owdzie zostały przebudowane, nawet zniesione, ale ileż to pokoleń kształciło się na tej drogocennej księdze. Znacznie mniej pisano u nas o drugim jubileuszu: 25-ej rocznicy imienia Narcyzy Żmichowskiej. Wykazując zasługi utalentowanej poetki, niedość silnie, zdaje się, podkreślono jej działalność społeczną. A wszak niepodobna zapomnieć, iż była to jedna z pierwszych u nas bojowniczek postępu, że w szeregu „nieśmiertelnych dusz," za których sprawą społeczeństwo nie upada, lecz wznosi się ku szczytom, ona stanowi niepoślednie ogniwo. A czy to sprawa wyzwolenia kobiety, czy też demokracya, najszlachetniej pojęta, i co ważniejsza, życiem stwierdzona, czy wreszcie wogóle walka o swobodę ducha ludzkiego, wszystkie te prądy znalazły w niej dzielną i wytrwałą orędowniczkę. A w jej dziełach artyzm formy idzie o lepsze z głębokością treści. Społeczeństwo na grobie autorki „Poganki" winno położyć napis: „Tej, co odważyła się myśleć." *h.*

Co czytamy.

Ciekawe zestawienie znajdujemy na szpaltach *Książki*. Redakcya oblicza swój dorobek z pierwszego roku wydawnictwa: zamieszczono w 11 numerach ogółem 441 ocen książek, do czego dołączywszy oceny, zawarte w Nr. 12 otrzymamy liczbę przeszło 500 tytułów dzieł, które znalazły uwzględnienie na szpaltach *Książki*. Daje to, niezbyt zapewne ścisły, ale wysoce charakterystyczny obraz naszego ruchu wydawniczego: Z ogólnej bowiem liczby 500 dzieł, 133 przypada na beletrystykę; odliczywszy zaś dzieła treści religijnej (51) i książki dla dzieci i młodzieży (41) dla szczególnego ich charakteru i przeznaczenia, otrzymamy, że beletrystyka stanowi $^1/_3$ ogółu książek. Więcej jeszcze: powieści i poezye jak wiemy, wydają się i rozchodzą w 2000 i więcej egzemplarzy, dzieło zaś naukowe najwyżej w 500, a i z tych częstokroć trzy czwarte butwieje na półkach księgarskich, podczas gdy nowości dnia w dziale powieści zwłaszcza (jeżeli przytem autor modny) są rozchwytywane na wyprzódki.

I cóż więc dziwnego, że księgarz, do którego zgłosi się autor z propozycyą już nie nabycia, lecz przyjęcia na skład dzieła naukowego, patrzy nań jak porządny obywatel na na obdartusa, który go pyta o godzinę na pustej ulicy między godziną 2 w nocy a 6 zrana?

Dla przestrogi autorów, którzyby pomimo to wszystko zechcieli pisać poważne książki, dodamy, iż pomiędzy działami treści naukowej, które zostały wydane w ciągu ostatniego roku, niewiele zapewne znajdzie się takich, na których okładce nie byłoby wypisane sakramentalne: „wydane z zapomogi Kasy im. J. Mianowskiego" lub „nakładem Akademii Umiejętności."

Nasi Bergerac'owie mogą za to z dumą powiedzieć: Ja czytam... ale nie Descartes'a, broń Boże! w najlepszym razie Przybyszewskiego. *h.*

Album sztuki stosowanej.

Rzemieślnicy warszawscy wystąpili do zarządu Towarzystwa artystycznego z projektem wydania albumu rzemiosł polskich, mających związek z odzieżą (krawiectwo, szewctwo, bieliźniarstwo, rękawicznictwo, czapnictwo itp.). Fakt ten świadczy, że ludzie ci coraz bardziej zaczynają rozumieć potrzebę podniesienia skali estetycznej swych wyrobów, że sztuka stosowana do przemysłu i rzemiosł odgrywa bardzo ważną rolę i nawet w niektórych gałęziach stała się nieodzownym warunkiem istnienia danej produkcyi. Fabryki skutecznie współzawodniczące z warsztatami rzemieślniczymi taniością i estetyką pewnych wyrobów, powinny być wymowną wskazówką dla wielu rzemieślników naszych. Niestety, znaczna ich większość dotąd czeka biernie zagłady niechybnej, grożącej ze strony przemysłu wielkiego; a przecież jesteśmy jeszcze w tak wyjątkowych warunkach, że posiadamy dotąd rozległe pola, na które nie prędko wtargnie maszyna wielkofabryczna i nie zmiażdży skromnych warsztatów. Trzeba tylko, ażeby rzemieślnicy nasi, obok pracy łącznej, starali się o zaspakajanie coraz wybredniejszego gustu spożywców. Sztuka stosowana mogłaby się u nas bardzo szeroko rozwinąć, zwłaszcza w takich gałęziach rzemiosł, jak ślusarstwo, stolarstwo, garncarstwo i wiele innych. Należy tylko nie poprzestawać na albumach, lecz dążyć do wytworzenia takiego muzeum wzorów, jakie istnieją za granicą. Wreszcie pożądanem jest wogóle kształcenie młodych rzemieślników w tym zakresie. *z.*

Szkodliwe bakterye.

W tych dniach zdarzyły się dwa nadzwyczajne, epokowe wypadki, na które zwrócił uwagę jeden tylko *Kuryer Warszawski*: W telegramie ze Sztokholmu czytamy, że profesor Behring doszedł do świetnych wyników w leczeniu tuberkulozy *serwatką*. Inny zaś telegram donosi, że przed sądem policyi poprawczej przy Brow-Street toczy się proces dr. Krauzego o to, że namawiał *zastrzelonego już* prokuratora transwalskiego, aby zamordował doradcę lorda Robertsa. Zaiste, rzecz niezwykła namawiać *zastrzelonego* człowieka do zbrodni i zapewne winny będzie skazany na niezwykłą karę. Warto jednak, ażeby *Kuryer Warszawski* wynalazł jaką *serwatkę*, którąby w głowie jego referenta politycznego i tłomacza telegramów zabiła bakterye bąków, wywołujące takie objawy jak przed laty „kawę ze śliwkami" i niedawno politykę *Strausa*.

Kongres parobków wiejskich.

W Bolonii obradował w tych dniach kongres jedyny w swoim rodzaju. Przedstawiciele 753 „związków" (Legge)—pachciarze, parobcy wiejscy, pastuchy i dziewki folwarczne—zjechali się dla utworzenia pierwszej wielkiej „Federacyi narodowej," rozciągającej swą kompetencyę w całych Włoszech rolnych. Zgromadzenie zagaił deputowany Costa, który w przemowie do delegatów reprezentujących 200-tysięczną ludność, prosił o ścisłe, krótkie, rzeczowe wyrażanie się, aby w ten sposób przedstawić opinii publicznej Włoch obraz smutnego położenia parobków rolnych. Delegaci jeden za drugim opisywali w barwach dosadnych nędzę wsi włoskiej; rozległy się protesty przeciwko samowolnemu łamaniu kontraktów, oraz dały się słyszeć skargi na rolę haniebnych faktorów w sutannach duchownych. Trzy zwłaszcza dziewczyny folwarczne opisały jaskrawie, jak duchowieństwo południowo-włoskie, korzystając ze swego wpływu na kobiety, usiłuje zatamować prąd emancypacyjny na wsi. Po tych sprawozdaniach kongres przeszedł do kwestyi najżywotniejszej — organizacyjnej. Określono stosunek „lig" do izb handlowych, które we wszystkich zatargach pełnią czynność pojednawcza; uregulowano sprawę wychodźtwa, uchwalono założenie biura emigracyjnego oraz postanowiono zwrócić się do parlamentu, aby opracował prawa o ubezpieczeniu społecznem, kontrakcie najmu pracy, przepisach i środkach bezpieczeństwa przy pracy, udzielaniu praw organizacyom korporacyjnym itd. Wreszcie przystąpiono do utworzenia upragnionej „Federacyi narodowej," której zarząd składa się z 16 członków, przyczem każdemu powierzono odrębną gałąź zawodu rolnego. Tak np. pani Adalgisa Lipparini czuwa nad sprawami swych koleżanek, zatrudnionych przy uprawie ryżu w równinie Górno-Włoskiej i przedstawionych przez Markizę Colombi w jej pełnej zgrozy powieści „In Risaja." Rozprawy toczyły się spokojnie i we wzorowym porządku; dopiero drugiego dnia doszło do skandalu, który zakończył się opuszczeniem przez republikanów posiedzenia, gdy kongres uchwalił przyjmować do „lig" rolnych gospodarzy, o ile oświadczą się za unarodowieniem ziemi. Decydującą rolę odegrał tu słynny parlamentaryusz i antropolog, profesor Enrico Ferri: „Pojmuję dobrze oburzenie republikanów — wołał ten ubóstwiany przez Włochów dowódca ludowy — ale mówiąc

szczerze, tryumfuję i cieszę się z całego serca." Zjazd stanowi epokę w rozwoju ruchu społecznego. *For.*

BADANIA NAUKOWE.

MUZYKA I EKONOMIA.

Samo zestawienie dwóch tych wyrazów wywoła — wiem to z góry — uśmiech ironiczny na niejednej twarzy. Oto, powiedzą, najdrastyczniejszy dowód przesady, jakiej hołdują zwolennicy materyalizmu ekonomicznego. Chcieć dowieść, że ta najbardziej uduchowiona ze sztuk pięknych zależy od sposobu produkcyi, czy tam techniki! Chcieć może każdy ton „Marsza pogrzebowego" Chopina lub „Sonaty patetycznej" Beethovena wytłomaczyć stosunkami walczących w danej chwili klas, stronnictw, interesów handlowych i przemysłowych?... Śmieszność i świętokradztwo.

Tak źle nie jest. Możemy przytoczyć dowcipne słowa jednego z wybitniejszych zwolenników naszego pojmowania dziejów, prof. Labrioli, który protestuje przeciw przypisywaniu najfantastyczniejszemu nawet „materyaliście" zamiaru i chęci „sprowadzania treści i formy każdej tercyny Dantego do ksiąg rachunkowych ówczesnych kupców florenckich. Niemniej wszakże faktem jest, że Dante był wyrazicielem dążeń kupieckiego mieszczaństwa włoskiego, dążeń do jedności narodowej i silnego rządu, dążeń wrogich feodalizmowi. I nietylko taki doktryner, jak Beltow, ale taki zawodowy, „wszechstronny" i umiarkowany historyk literatury, jak prof. Jerzy Renard, stawia warunki gospodarcze u podstawy wszystkich tych, co wpływają na rozwój literatury i poezyi. Tak samo prof. Karejew, Bax i inni z szyderstwem i oburzeniem odrzucają myśl objaśniania dziejów filozofii na tle rozwoju ekonomicznego: a oto nietylko Kautsky naszkicował tą metodą obraz początków filozofii greckiej, ale dr. Eleutheropoulos, specyalista, docent uniwersytetu zurychskiego, napisał całe wielkie dzieło, wykazujące zależność filozofii greckiej od ówczesnych warunków ekonomicznych.

I my zatem możemy z całym spokojem trzymać się poglądu, że muzyka, jakkolwiek niezaprzeczenie jest najbardziej uduchowiona ze sztuk pięknych, to jednak również niewątpliwie, na mocy właśnie zasady nierozerwalności, współzależności wszystkich zjawisk życia społecznego, z jednej strony, w duszy każdej jednostki, czy to twórczej, czy odczuwającej tylko, wchodzi w związek z jej treścią myślową i uczuciową — religijną, polityczną, ekonomiczną, z drugiej zaś — zależy od instrumentów, a te — od techniki wytwórczej. Zanim zaś znajdzie się jakiś specyalista, który, za przykładem wymienionych wyżej, przedmiot ten w całości zbada i przedstawi, niech nam wolno będzie tymczasem — bez większych pretensyj — na poparcie powyższego poglądu przytoczyć kilka charakterystycznych przykładów.

Przedewszystkiem jednak należy przypomnieć, że materyalizm historyczny nie upatruje w technice i organizacyi wytwórczej źródła wszystkiego, co dzieje się w życiu społeczeństwa, ponieważ na całokształt tego życia składają się, oprócz ekonomicznego, dwa jeszcze czynniki: natura otaczająca oraz organizm ludzki, jako taki, w swej fizyo- i psychologicznej czynności. O ile pod wyrazem „techniki" rozumiemy ściśle tylko sztuczne narzędzia, wogóle, produkty natury, przystosowane już przez człowieka do jego potrzeb i zużyte na korzystne dla niego przekształcanie oddziaływań samych sił przyrody, to przypuścić musimy pierwotny stan, w którym człowiek — lub jego poprzednik — styka się z naturą bez pośrednictwa techniki; jeżeli więc komuś podoba się piękny frazes Jaurès'a o tem, że „w pierwotnym boru, wśród jego szmerów i cieniów, wszechświat, niby król, wstępuje do duszy człowieka," to może go się nie wyrzekać, może śmiało, wolny od brutalnych zamachów materyalizmu ekonomicznego, genezę i ustosunkowanie tonów, przynajmniej pierwotne, położyć jedynie na karb bezpośredniego stosunku organizmu ludzkiego do natury zewnętrznej. Jeśli zatem Arabowie nietylko w teoryi, ale i praktyce, odróżniają trzecie części tonów, a Indusi — nawet ćwierćtony, dla naszego słuchu niemożliwe do odróżnienia, dla naszego głosu niewykonalne — to może przyczyna tych różnic tkwi w jakichś fizyologicznych, rasowych różnicach, czy może w osobliwościach otoczenia naturalnego; jednakże gdy zważymy, że nasza gama, w której krzyżyk niższego tonu nie jest odróżniany od bemola bezpośredniego wyższego tonu, czyli „kommat" nie jest uwzględniany, chociaż na niektórych instrumentach daje się uwydatnić, że gama ta wytworzyła się historycznie — to i tu musimy pamiętać o możliwości przynajmniej wpływu takich lub innych instrumentów muzycznych na sam charakter muzyki.

Historycy muzyki zgadzają się na to, że instrumenty muzyczne pierwotne zależą od stanu techniki pierwotnej. Natura podsuwa je w formie muszli, trzcin itp.; lecz dopiero możność zwycięstwa nad zwierzem dostarcza rogu do dęcia, a instrumenty strunowe, o czem świadczy i pierwotny kształt harfy, są przekształceniami łuku myśliwskiego; myśliwi mitologiczni, jak Apollo, są też mistrzami w grze na instrumentach strunowych. Dowodzić chyba nie potrzeba, że postęp budowy instrumentów muzycznych zależy od postępów techniki wogóle, wielu jej gałęzi w szczególności; że rozwój teoryi muzyki, który i na postęp instrumentów oddziaływa, zależy od postępów matematyki i fizyki, na które znowu silny mają wpływ potrzeby produkcyi przemysłowej.

Lecz charakter muzyki zależy nietylko od instrumentów, i nawet nie najwięcej od nich; co zaś do teoryi, to, jak wiadomo, we wszystkich zakresach przychodzi ona po praktyce, bywa jej sankcyą i dopiero jako taka, na dalszy jej rozwój po części oddziaływa. Muzyka jest w znacznym stopniu niezależna i od instrumentu, i od teoryi. Kolebką jej był i do dziś źródłem ożywczem, bo ludowem, jest — śpiew, bezpośredni wyraz stanów duszy. Jako wyraz stanów duszy, muzyka jest także zależna od ekonomicznej podstawy życia społecznego, ale nie bezpośrednio od techniki, od sposobu produkcyi, lecz tylko od *organizacyi ekonomicznej* i od budowy społecznej, która na tej organizacyi się wspiera i z niej wyrasta.

Sam tak doniosły fakt dziejowy przewagi kościoła w określaniu charakteru muzyki, jak zresztą wogóle muzyki duchowej — należy rozpatrywać z tego punktu widzenia: kościół w średnich wiekach, jego hegemonia polityczna i umysłowa, miały swe głębokie korzenie w organizacyi ekonomicznej społeczeństwa ówczesnego. Aby jednak od zależności tak ogólnej przejść do wypadków poszczególnych, weźmy np. muzykę cechową średniowiecznych „majstrów - śpiewaków" (Meistersinger). Organizacya cechowa, ten bezpośredni wypływ ówczesnego podziału pracy wytwórczej między wsią a miastem, oraz walki klas (rzemieślników z patrycyuszami) wewnątrz miast, ta organizacya produkcyi, normująca ściśle rodzaj i wartość wytworów, hamująca wszelkie inowacye lub ujmująca je także w ramy przepisów, odbiła się i na produkcyi muzycznej. Cechy muzyków były organizacyami majstrów takich samych, jak krawcy, szewcy i kuśnierze, odbywały swe posiedzenia i konkursy i podług ścisłych przepisów pozwalały członkom „tworzyć" nowe melodye i ich kombinacye „sposoby" (Weisen), którym ich autorowie nadawali dla upamiętnienia „uczciwe nie szydercze nazwy" w rodzaju: „sposób ogoniastej małpy," „zaostrzonej strzały" lub „ton szklanego kufla" itp. Nazwy były humorystyczne, lecz kompozycye, przechowane częściowo w starych archiwach, bezduszne i pedantyczne: panom majstrom nie pozwalały ramy ich organizacyi ekonomicznej wytworzyć muzyki o innym charakterze.

Inny przykład bardzo znamienny: Oto na Dwór cesarzowej Elżbiety do Petersburga przybywa z Czech waltornista Jan Antoni Maresch. Naryszkin powierza mu naprawę rogów myśliwskich. Wówczas muzykalny czech wpada na genialny pomysł: spędza tłum chłopów, wręcza każdemu róg, wydający tylko jeden ton; lecz same rogi dobiera tak i w takiej ilości, że ta orkiestra wykonywa całe uwertury i symfonie, chociaż wykonanie najprostszej melodyi wymaga tu już całego tłumu muzykantów, niewolniczo dmących w swe jednogłosowe instrumenty. Rzeczywiście, że tylko możność dowolnego rozporządzania dowolną liczbą poddanych chłopów (nie mówiąc już o wielkiej ilości zwierzyny, potrzebnej dla dostarczenia rogów) pozwalało na organizowanie takich kapel muzyki, jak ją nazywano, „rogowej," „polowej" lub „myśliwskiej;" jasnem jest, że ta możność leżała w ogólnych warunkach ekonomicznych i społecznej budowie kraju. Cudzoziemców przyjezdnych wprowadzała ta muzyka w zdumienie, w takiej stała sprzeczności z muzykalną emancypacyą jednostki, która, grając np. na organach sama jedna panuje nad całym światem tonów. Jakiś czas była ona machiną; czytamy bowiem, że kapelmistrz rogowej muzyki hr. Razumowskiego, Karol von Lau, jeszcze bardziej ją „udoskonalił." Ma się rozumieć, że w muzyce tej nie wyrażały się stany duszy samych muzykantów: ich rodzinne, łzawe i tęskne piosenki nie znajdowały tu zastosowania: niewątpliwie jednak kapele „polowe" odzwierciadlały ten stan ducha swoich właścicieli.

(D. n.)

Dr. K. Krauz.

LITERATURA I SZTUKA.

O VI-ym TOMIE „HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ" Piotra Chmielowskiego.

W r. 1900 (*Prawda*, nr. 33–37) oceniałem pierwsze pięć tomów dzieła Chmielowskiego; obecnie pomówię o szóstym, ostatnim. Jest on organicznie dostrojonem do poprzednich ciągów zakończeniem całości, — próbą historyi ruchu literackiego w drugiej połowie XIX-go stulecia. Z działów piśmiennictwa, podobnie jak w poprzednich tomach, najtroskliwiej są i tu traktowane powieści, a obok nich publicystyka, historya polityczna, w części filozofia. Życiorysy uległy znacznemu uproszczeniu — do czego zapewne zmusiła autora wielka obfitość pozostałego materyału. Wpłynęło to dodatnio na bardziej harmonijny układ ostatniego tomu. Rzuca się

tu przedewszystkiem w oczy — zaznaczona już przeze mnie poprzednio — ujemna strona budowy dzieła: balast nazwisk niepotrzebnych — co bynajmniej nie jest jeszcze rękojmią organicznej jego zupełności. W tomie V-ym — najbardziej może zbytecznymi szczegółami przepełnionym — znajdujemy między innemi, dość obszerny stosunkowo, życiorys Marcelego Bogorya-Skotnickiego, rzekomego powieściopisarza, którego imię mogłoby być śmiało wymiecione po za progi historyi. Ostatni tom, chociaż symetryczniejszy, nie jest jednak wolny od podobnych artykułów. Na str. np. 216 poświęcono niepotrzebnie kilka wierszy z wyrazem uznania Bogumiłowi Aspisowi... Stał on bezwątpienia, jako talent pisarski, wyżej od Skotnickiego; ale umysłowo-moralna jego wartość nie daje mu prawa do zaszczytnej wzmianki w historyi literatury. Niech mi tu wolno będzie — zgodnie z zasadą: „De mortuis aut nihil, aut verum" — poprzeć ten, za surowy może z pozoru, sąd o człowieku — szczegółami, wysnutymi ze wspomnień bezpośredniego, a dość wczesnego z autorem i jego pismami stosunku. Zetknąłem się po raz pierwszy z Bogumiłem Aspisem, jako uczeń klasy V-ej w gimnazyum radomskiem, gdzie on wykładał historyę powszechną. Z lekcyi niewiełką odnosiliśmy korzyść, bo nauczyciel — o ile dziś, na podstawie otrzymanych niegdyś wrażeń, sądzić mogę — był raczej goniącym za efektami, frazeologiem, niż średnim znawcą swego przedmiotu. Raz np., pamiętam, wykładał przez całą godzinę „historyę *przyszłości*..." co, naturalnie, miało dla nas wartość... kazania chińskiego. Ssaliśmy za to do syta soki... z kwiatów jego muzy; młody bowiem pedagog uważał za stosowne dać nam do pokątnego czytania swój „poemat" pornograficzny p. n. *Salwater*, który na kilka lat przedtem wyszedł z druku pod pseudonimem „Jakóba Szatana." Piotr Chmielowski myli się, twierdząc, że jest to „satyra nakształt *Beniowskiego*." *Salwater* może być raczej poczytany za parodyę najsprośniejszych ustępów z *Don Juana*. W arcydziele Słowackiego — brudów takich niema... Bądź co bądź rozkoszowaliśmy się tym ponętnym płodem duchowym żądzy rozpustnej, — a wrażliwsi zatruli nim sobie całe zwoje snów młodzieńczych... We dwadzieścia lat później spotkałem znowu stale, śród zmienionych warunków życia, przez jakiś czas Bogumiła Aspisa w Kielcach, gdzie obaj byliśmy nauczycielami: ja w gimnazyach rządowych (męskiem i żeńskiem), on w czteroklasowej szkole prywatnej. Nie pisał już wtedy ani *Salwaterów*, ani *Salamit*; lecz dał mi się bliżej poznać jako wytrawny, choć już podupadły na siłach, specyalista w sztuce... uwodzenia płci niewieściej.

Wobec uznania dla tak podrzędnych działaczów, dziwnem się wydać może opuszczenie wielu nazwisk, nietylko zaznaczenia, lecz i treściwego określenia godnych. Z dawniejszych pominięto: Otwinowskiego Erazma i Benisławską Konstancyę; z nowszych między innemi: Bohusza Maryana (pseud.), Chrzanowskiego Ignacego, Dubieckiego Maryana, Esteję (pseud.), Grabowskiego Ignacego, Gostomskiego Walerego, Hajotę (pseud.), Jezierskiego Feliksa, Kanteckiego Klemensa, Kaplińskiego Leona, Kicińskiego Brunona, Kośmińskiego Pawła, Kubalę Ludwika, Karłowicza Jana, Krzemińskiego Stanisława, Korotyńskich (Wincentego, Ludwika i Władysława), Kraushara Aleksandra, Łagunę Stosława, Maszewskiego Adama, Meyeta Leopolda, Nałkowskiego Wacława, Nawrockiego Władysława, Nossiga Alfreda, Pawińskiego Adolfa, Pietkiewicza Zenona, Podwysockiego Klemensa, Przyborowskiego Józefa, Przyborowskiego Walerego, Rollego Antoniego, Radlińskiego Ignacego, Rodocia Mikołaja (pseud.), Rzążewskiego Adama, Rzętkowskiego Stanisława, Świeżawskiego Ernesta, Suligowskiego Adolfa, Sulimierskiego Filipa, Szeligę Maryę (pseud.), Wołowskiego Michała, Winiarskiego Leona, Zglińskiego Daniela (pseud.).

Wiele nazwisk ujęto w ramy spisów bez bliższego określenia ich wartości — co w historyi literatury martwą jest literą.

Najmłodszych wiekiem przedstawicieli ostatniej doby — realistów i indywidualistów — Chmielowski — jakby dla uniknięcia zarzutu, że nie idzie w duchu czasu — starannie spisał i dobrą kreską obdarzył; ale żadnego nie scharakteryzował.

Oceny wybitniejszych starszego pokolenia autorów współczesnych różną mają wartość... Ciekawą byłoby wogóle rzeczą należyte wyjaśnienie zasad, któremi się dziejopisarz-estetyk w swych sądach kieruje. To pewna, że po za różnemi, właściwemi Chmielowskiemu, wyjątkowemi upodobaniami — których motywy niezawsze są zrozumiałe, — uznanie jego zyskują tylko prace, nacechowane pewną (czasem urojoną) plastyką, jasnym a prostym stylem, oraz odpowiednią tendencyą moralno-społeczną. Natchnienie, siła uczucia, artyzm — stoją już na drugim planie. Taka miara krytyczna może jeszcze wystarczyć do oceny powieści niższego rzędu lub surowszych utworów mowy wiązanej, jak gawędy Pola, Syrokomli, Romanowskiego; lecz jest niedostateczna w zastosowaniu do wyższych sfer poezyi.

W tomie VI-ym zwracają na siebie z tego względu szczególną uwagę dwa artykuły: o Deotymie i o Konopnickiej. Autorki te, jakkolwiek złączone wspólnością zawodu i uświęconego zwyczajem tytułu „poetki," różnią się wielce między sobą rodzajem i stopniem uzdolnienia, ideałami i całą organizacyą psychiczną. Pierwsza, według właściwej sobie, od lat kilkudziesięciu przyjętej metody, *układa* wiersze, druga *tworzy*... Gdyby ktoś, obdarzony prawdziwym zmysłem estetycznym, przeczytał choćby najmniejszy ustęp — naprzód z Deotymy, a potem zaraz z Konopnickiej, doznałby z pewnością takiego wrażenia, jakby przeszedł od widoku strzyżonej z papieru lilii do żywego kwiatu, od prozy wierszowanej do poezyi. Chmielowski tymczasem znacznie wyżej stawia Deotymę; bo poświęca jej w swem dziele osiem razy więcej miejsca (4 kartki), niż Konopnickiej (jedną stronicę). Nie wznosi on wprawdzie słynnej niegdyś improwizatorki na szczyty najwyższe; ale przypisuje jej wszystkie zasadnicze znamiona, właściwe kapłance słowa twórczego. Daleki od podzielania tego poglądu, zauważę, iż Chmielowski wspomina z pewnem uznaniem o takich płodach poronionych, jak *Treny nad grobem Adama Mickiewicza*. Utrzymuje on, że „pomysł ogólny... jest bardzo piękny; lecz sposób wykonania artystycznego, erudycya teologiczna ochłodzony, nie może wywołać gorętszego wzruszenia." Zaznaczam tu nawiasowo, iż w *Trenach* oprócz „teologicznej" jest i świecka „erudycya": ducha poety witają w świecie nadchmurnym nietylko takie postaci, jak prorok Ezechiel, święty Szczepan, Dziewica Orleańska, ale i takie, jak Pitya (sic!), Homer, Kalidasa, Dante, Jan Kochanowski..., Leonidas, Kurcyusz (starorzymski bohater mityczny) i... Napoleon I. Słowem — gmatwanina. Cały zbiór — siedmiu tomów — suchy, sztywny i mętny — wywołać może w czytelniku raczej uczucie wstrętu, niż jakiekolwiek „wzruszenie" dodatnie. Najlichszy ze wszystkich jest *Tren III*. Oto jego początek:

O wieszczu, tak namiętnie (!) opłakuję ciebie,
Tak pragnę na twym grobie rzucić wiązkę kwiecia,
Że duszą ogarnąwszy przestrzenie, stulecia,
Idę na Twym pogrzebie, duchowym (!) pogrzebie.
Miliony wiernych muszą (!), wpośród lat pochodu,
Sprządz ramię do ramienia, by unieść swobodnie
Twą trumnę, bo tą *trumną jest serce* (?) *narodu*...

Bezsilność, bezmyślność i sztuczne pozorowanie zapału ujawniają się tutaj, jak widzimy, w zupełnym z wszelką erudycyą rozbracie.

Notatka o Konopnickiej — zaciemniająca raczej, niż rozjaśniająca zagadkę jej talentu, przedstawia monotonny a mglisty łańcuch zdań, wyłącznie prawie negatywnych — tak, że ich treść istotną można zamknąć w jednem słówku: *nie*. „*Nie mogła* — pisze Chmielowski — przyjść sama z sobą do zgody wewnętrznej" (!); „w jej utworach istniała *niezgodność* między treścią realną a zbyt wybujałą frazeologią" (?); „choć dawała dużo rozumnych wskazówek — dla kobiety zwłaszcza — sama przecież, „niepewna i drżąca," rzucała „pytania namiętne," *nie mogąc* ich rozwikłać" (szczególny zarzut!)... *Nie zadawalały* jej utwory pod względem myślowym; dawała się porywać (!) obfitej wymowie, retorycznie rozwijanej, — *nie szeregowała, nie streszczała* swych rozumowań, — skąd wynikały powtórzenia, *wcale się nie przyczyniające* do wywołania rozkoszy estetycznej..."

O nowelach Konopnickiej — między któremi są urocze perełki — historyk wcale nie wspomina — mimo swej, znanej wogóle, sumienności sprawozdawczej.

Pora już zakończyć pogadankę o pracy Chmielowskiego. Nie jest to dzieło spójne i harmonijne, przeniknione nawskróś duchem filozoficzno-krytycznym swego autora; nie imponuje, ani trafnem wyświetleniem głównych momentów dziejowych, ani głębokością sądów estetycznych, ani nawet zasadniczo dokładnem zregestrowaniem wszystkich zjawisk; ale ma ono racyę bytu, jako najzupełniejsza u nas w danym rodzaju, praca niepospolitego erudyty, na gruncie uświęconej zdawna przez niego, metody Hipolita Taine'a oparta, — bezstronna, wolnomyślna i gorącem umiłowaniem literatury ojczystej nacechowana.

Antoni Gustaw Bem.

Z MUZYKI.

Występy A. Bandrowskiego w teatrze warszawskim.

Szersze koła publiczności naszej miały przed rokiem sposobność usłyszenia śpiewaka wielkiej miary, A. Bandrowskiego. Głos tenorowy, wszechstronnie wykształcony, dykcya wyborna, wreszcie wysoka inteligencya artystyczna w oddaniu właściwego charakteru każdego utworu — oto zalety, któremi ściągał tłumy słuchaczów do sal koncertowych.

Chcąc jednak ocenić dokładnie talent znakomitego tenora, trzeba widzieć go na scenie, na której obok śpiewaka objawić się musi aktor. Bandrowski wystąpił w trzech operach: w „Lohengrinie," „Tanhauserze" i „Fauście." Trzy tak różne typy odtworzył z całym pietyzmem artysty, rozumiejącego dobrze cechy odrębne każdej z tych postaci.

Jego Lohengrin, czy to w chwili pożegnania łabędzia w akcie pierwszym, czy w duecie miłosnym z Elzą lub walce orężnej z Telramundem, w słowach pogardy rzucanych Ortrudzie — nie zatraca ani na chwilę swego majestatu, nie wychodzi z atmosfery mistycznej, którą Wagner otoczył postać rycerza św. Graala.

Głos dla tego artysty jest tylko środkiem do wydobycia z danej roli jej charakteru, środkiem ściśle do jej wymagań zastosowanym; a jak dba o każdy szczegół muzyczny, świadczy choćby krótiutkie zdanie: „Biada nam," z takim wstrząsającym oddane bólem po zabiciu Telramunda.

Bogactwo kolorytu głosowego ujawniło się jeszcze wyraźniej w „Tanhauserze." Scena z Wenus w pierwszym akcie śpiewana jest głosem rwanym wewnętrzną rozterką, wybuchającym ostrymi dźwiękami

wzburzenia; za to jakąż jasnością, przejrzystością brzmi ten jeden wyraz „Elżbieta,“ w którym rycerz wypowiada całą świadomą już rozkosz wyzwolenia się z pęt szatańskich, powrotu do dawnego życia. Scenie turniejowej w akcie drugim nic zarzucić nie można, ani co do śpiewu, ani co do gry, a jednak w porównaniu z aktem pierwszym i trzecim mamy to wrażenie, jak gdyby artysta wkładał tu mniej duszy, niż w inne części swej roli. W akcie trzecim całe opowiadanie o pobycie w Rzymie oddane jest z mistrzostwem nieporównanem. Szept śpiewny, w którym ani jedno słowo nie ginie, ból, rozpacz w każdym rysie twarzy, w każdym ruchu dają złudzenie prawdy, a jest to największy tryumf sztuki scenicznej.

Rolę Fausta pojął p. Bandrowski odmiennie od innych jej wykonawców. Jego Faust to nie młodzik, banalnie zalecający się do Małgorzaty; to mędrzec odmłodzony, któremu jednakże pozostało jasne wspomnienie przebytego życia, wrócona młodość nie odebrała mu ani doświadczenia, ani wiedzy. W „Fauście“ rozwinął artysta całą pełnię liryzmu; do naczelnych chwil w tej roli zaliczamy cały akt pierwszy, tak pod względem śpiewu, jak i gry. Wogóle rolę Fausta zaliczamy do najpiękniejszych kreacyj Bandrowskiego, choć górne C i H wzięte falsetem, stanowczo psują wrażenie i powinny być odrzucone.

Bandrowski role swoje śpiewał po polsku. Życzymy scenie warszawskiej, by jak najczęściej gościć mógł na jej deskach.

Remi.

SPRAWY EKONOMICZNE

KRÓLESTWO POLSKIE W RAPORTACH KONSULATU ANGIELSKIEGO.

Ogółowi publiczności polskiej wiadomo, że angielskie ministeryum spraw zagranicznych wydaje peryodycznie raporty konsularne, zawierające sprawozdania przemysłowo-handlowe z okręgów które są w zawiadywaniu pojedynczych konsulów angielskich. Między innymi konsulat warszawski zdaje rok rocznie sprawę z ekonomicznego stanu Królestwa Polskiego i czterech przyległych gubernij: Kowieńskiej, Wileńskiej, Grodzieńskiej i Mińskiej. Raporty te pisane są dla informowania kupców i przedsiębiorców angielskich o stanie rynku handlowego; uwzględniane są w nich przeważnie sprawy, mogące obchodzić publiczność angielską, jednakże są tam rzeczy, które powinny zaciekawić czytelnika polskiego—zarówno handlowca i teoretyka. Nie należy jednak przypuszczać, żeby nasza publiczność aż dotychczas wcale nie korzystała z owych raportów. Owszem!—korzystamy z nich, lecz nieświadomie. Od czasu od czasu pojawiają się w pismach warszawskich artykuły, uważane za bardzo źródłowe i oryginalne, które są jednak, w gruncie rzeczy, tłomaczeniem sprawozdań angielskich, i to tłomaczeniem wziętem z „drugiej lub trzeciej ręki.“ Posłuchajmy, co o tem mówi ostatni raport: „Jedno z pism warszawskich umieściło artykuł o nadprodukcyi w polskim przemyśle chemicznym. Artykuł ten przedrukowano z petersburskiego *Industrial World*, a tam dostał się jako przedruk z *Chemical Trades Journal*. Ten zaś organ zaczerpnął całość swych wiadomości z raportu konsularnego za rok 1899, tak że ostatecznie artykuł pisma warszawskiego jest dosłownem tłomaczeniem raportu.“*)

*) Annual Series Nr. 2578. 1901 r. Str. 4.

Do roku 1897 zwracano widocznie bardzo mało uwagi na „warszawski okrąg konsularny,“ gdyż raporty poprzestawały na kilku stronicach, zapełnionych niewielu cyfrowemi danemi o stanie rolnictwa, ilości wysiewów i przemyśle fabrycznym. Dopiero od roku 1897, z chwilą objęcia konsulatu przez Mr. Murray'a, doroczne sprawozdania stają się obszerniejsze, zawierają całą masę faktów gromadzonych niezmiernie skrzętnie z najrozmaitszych źródeł, a ostatni raport stanowi już sporą broszurę o 80 stronicach.

W każdym raporcie mamy przedewszystkiem zwięzłe przedstawienie ogólnego położenia przemysłowego; następnie rozbiór dowozu i wywozu, oczywiście, ze szczególnem uwzględnieniem Angli; później idą rady dla przemysłowców angielskich, pragnących wejść w stosunki z Królestwem; wreszcie—co zajmuje lwią część sprawozdania szczegółowe dane, dotyczące każdej osobnej gałęzi przemysłu i rolnictwa: zaczynając od tkactwa a kończąc na jajach i koronkach; niebrak również danych o handlu szmatami i starymi kaloszami oraz o ilości spóźnionych pociągów na kolei Nadwiślańskiej. Prócz tego każdy raport poświęca uwagę postępom szkolnictwa, rozwojowi komunikacyi itp. Wszystkie te dane mają dla czytelnika polskiego wartość surowego materyału, lecz nieraz bardzo cennego, albowiem nie znajdującego się w innych, dostępnych ogółowi pracach statytycznych; materyał ten popłątany jest gdzieniegdzie uwagami o naszych zwyczajach i kulturze; są to opinie bezstronnego świadka, a więc w każdym razie, ciekawe.

Wstęp sprawozdań konsularnych, wydanych w 1900 i 1901 roku, zajmuje przedstawienie przyczyn przesilenia przemysłowego w Królestwie. Zgodnie ze zdaniem, wyrażanem już przez pisma polskie, raporty widzą trzy główne przyczyny przesilenia: 1) nagły rozwój przemysłu. 2) Wprowadzenie złotej waluty. 3) Spekulacye ziemią. Następnie do spotęgowania przesilenia przyczyniła się wojna chińska, oraz idące za nią zmniejszenie wydatków przez departamenty rządowe, co odbiło się niekorzystnie na wielu przedsiębiorstwach. Fantastyczne wyobrażenia publiczności o naturalnych bogactwach kraju również stanowiły jedną z przyczyn. „Nie było uważane za błąd, jeżeli ktoś twierdził, że naturalne bogactwa są niewyczerpane, lub że można z nich korzystać bez pomocy kapitału. Błędnie nie chciano widzieć, iż nie istnieje trzeci i konieczny warunek pomyślności przemysłowej — że niema dostatecznego rynku dla zbytu. A właśnie tego rynku tutaj brak... Swego czasu spoglądano niechętnie na przypływ obcych kapitałów; lecz obecnie szczęściem jest dla kraju, że wielka ilość straconych kapitałów była obcego pochodzenia“*). Najcharakterystyczniejszym rysem przesilenia była nierównomierność pomiędzy cenami materyału surowego i produktów fabrycznych; podczas gdy ceny wytworów spadały do minimum, ceny materyałów surowych—żelaza, węgla, wełny itd. — poszły w górę. Przyczyną tego zjawiska stała się działalność syndykatów, które w swych obliczeniach nie wzięły pod uwagę zwykłych warunków handlu, nie zważając na zmniejszanie się popytu; ostatecznie sztucznie wyśrubowane ceny nagle spadły, pociągając za sobą upadek syndykatów. Drugim charakterystycznym rysem przesilenia był ciągły wzrost cen ziemi, gdyż posiadacze kapitałów, zrażeni do akcyi różnych przedsiębiorstw, zaczęli nabywać ziemię; powtóre, istnieje ciągły popyt na ziemię ze strony włościan, chętnie nabywających parcele. „Rząd popiera parcelacye i specyalnie w tym celu założył Bank Włościański“ **). Wogóle biorąc,

*) Annual Series. Nr. 2578. 1901 r. Str. 4.

**) tamże, str. 38.

przyczyny i przebieg przesilenia wyłożone są jasno, ściśle i poparte masą danych, których brakło nieraz naszym pismom.

Wyrzuty, jakie raport czyni Anglikom za ich niechęć do podtrzymywania stosunków handlowych z Królestwem, niewiele nas mogą obchodzić, lecz natomiast ciekawe są niektóre fakty, objaśniające przyczynę tej niechęci i ilustrujące polsko-angielskie stosunki handlowe. Nie ulega wątpliwości, że ilość towarów angielskich przychodzących do Królestwa, stale się zmniejsza, ustępując miejsca wyrobom niemieckim lub francuskim; maszyny przędzalniane, dawniej prawie wyłącznie sprowadzane z Anglii, dziś dostarczane są przez Niemców, częściowo nawet przez miejscowe fabryki mechaniczne. Wyroby angielskie, mające największy zbyt, np. sukno, narzędzia stalowe, papier, przybory fotograficzne i galanteryjne, otrzymywane są w Warszawie nie bezpośrednio z Anglii, lecz przez Berlin lub Wiedeń; dzięki czemu są one bardzo drogie, gdyż agenci niemieccy każą sobie dobrze płacić za pośrednictwo. Zboże i drzewo polskie, w znacznych ilościach dostawiane do Anglii, również przechodzą przez ręce pośredników niemieckich, biorących 50—60 kop. komisowego od korca zboża. Stosunki bezpośrednie — o których nawiązywanie woła konsulat — jakoś nie mogą się nawiązać. Anglicy czują wstręt do posyłania agentów do kraju, w którym ich nie rozumieją; na bezpośrednie zgłaszania się firm polskich odpowiadają najczęściej odmownie; niestety, tyle już razy byli oszukani przez najrozmaitszych żydowsko - polskich agentów, zamawiających towary po to, by je później odesłać, tyle razy, udzieliwszy kredytu, byli zarwani, że tym odmowom nie należy się dziwić. Sprawozdanie konsulatu za rok 1898 zawiera kilka typowych przykładów wprowadzenia kupców angielskich w pułapkę. Pozatem gra jeszcze rolę ta przyczyna, że kapitał w Królestwie znajduje się przeważnie nie w polskich lecz niemieckich rękach, a Niemcy zawsze popierają swoich. Brak sumienności handlowej odbija się w przemyśle Królestwa jeszcze w inny sposób. Do niedawna towary wełniane fabryk łódzkich miały na rynkach rosyjskich ogromne wzięcie, były bardzo cenione i poszukiwane. Od pewnego czasu sukno łódzkie straciło poprzednią sławę, gdyż w towarze figurującym jako „czysto wełniany“ znajduje się domieszka bawełny. Raport twierdzi, że odpowiedzialność w danym wypadku spada przedewszystkiem na rosyjskich kupców hurtownych, którzy „zamawiając takie sukno, sprzedają je jako zupełnie czyste, a schowawszy do własnych kieszeni zysk z takiej tranzakcyi, zwalają całą winę na fabrykanta“ *).

(D. n.)

T. Filipowicz.

NA MARGINESIE.

— W książce, która wyszła po niemiecku w roku zeszłym, pod tytułem „Młode Niemcy i pruska cenzura,” autor Geiber opowiada, jakim prześladowaniom przed rokiem 1878 i później, podlegali w Prusach literaci. Na czele ruchu literackiego Młodych Niemiec stali, jak wiadomo, utalentowani pisarze: Gutzkow, Laube, Winberg, Küne, Mundt i inni. Powodem do pierwszej napaści na nich, był niewinny romans Gutzkowa „Walki.” Ówczesny niemiecki sykofant, krytyk Mentzel, wsławiony w swoim czasie zabójczemi sarkazmami Börnego, zwrócił uwagę policyi pruskiej na rzekomo szkodliwą

*) Annual Series. Nr. 2226. 1899 r. Str. 36.

działalność kółka literackiego. Pierwszy dostał się do więzienia Laube. Miał przyjaciela, udającego zaciekłego liberała, a który był w istobie agentem—prowokatorem, szpiegującym kółka studenckie. Jednocześnie denuncyował go drugi „przyjaciel," że Laube jako nauczyciel prywatny w pewnej arystokratycznej rodzinie, wpajał swemu uczniowi „niebezpieczne pojęcie o równości wszystkich stanów." Ciężkie więzienie złamało Laubego. Wyparł się poglądów (dość zresztą umiarkowanych) wypowiedzianych w swej książce „Listy Radcy Nadwornego," nawet oskarżył Heinego oraz Warnhagena. Sędzia śledczy Dambach nie przestawał mimo to dręczyć go. Badano nawet 10-letniego jego ucznia i żądano, aby malec wypowiedział swe „poglądy na szlachtę." Podobnego losu doświadczył Gutzkow, ale zachował się wobec prześladowań zupełnie inaczej: niczego się nie wyparł, a nawet nie dał za przykładem Laubego zobowiązania, ograniczającego jego działalność literacką do tematów uznanych przez policyę pruską. Mundt, przeciwnie, zgodził się na wszystko i nawet publicznie ogłosił następną deklaracyę: „Młode Niemcy" to przedsiewzięcie tak śmieszne i błahe, że czuję wielkie zadowolenie, iż mogę zdjąć z siebie odpowiedzialność za głupotę, która pozwoliła na zawiązanie tego wstrętnego stowarzyszenia." Następnie Mundt posłał jeden ze swych utworów ministrowi Rochowowi z dedykacyą i listem dziękczynnym, na co minister odpowiedział notatką na marginesie: „nie wiem, doprawdy, za co mi ten pan dziękuje?" Studenci niemieccy wrogo przyjęli ten zwrot profesora w kierunku łojalnym. Sam Mundt jeszcze się raz odmienił i został znów prof. liberalnym, gdy mu przestały grozić prześladowania. Nastały niebawem czasy, kiedy rząd niemiecki uznał kierunek i działalność Młodych Niemiec za pożyteczne dla siebie, a tymczasem społeczeństwo zaczęło je uważać za „literackie i epikurejskie."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Minister spraw wewnętrznych uznał za niezbędne w myśl ustawy o zabezpieczeniu porządku państwowego i spokoju społecznego ogłosić w stanie wzmocnionej ochrony miasta: Rygę, Jurjew, Mińsk, Mohylów, Homel, Dźwińsk, Witebsk, Białystok, Niższy Nowogród, Kazań, Tomsk, Jarosław, Saratow, Połtawę, Samarę, Kiszyniew oraz gub. Wileńską.

— Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa zatwierdziło przepisy tymczasowe dla kas pomocy robotników górniczych, pracujących w zakładach Towarzystw: Sosnowickiego, Warszawskiego, Francuskiego, Włoskiego, Czeladź, Hr. Renarda, Flora, Jan, Antoni Huta Bankowa, Huta Katarzyny.

— Na ofiary wrzesińskie zebrano w Galicyi do końca roku zeszłego z górą 70.000 koron.

Pomnik Chopina. Hr. Szczawiński-Brochocki i żona jego, artystka Cesarskiej opery w Petersburgu, p. Bolska, zwrócili się do General-Gubernatora warszawskiego z prośbą o pozwolenie wzniesienia w Warszawie pomnika Fr. Chopina i zbierania ofiar na ten cel. Po porozumieniu się General-Gubernatora z ministeryum spraw wewnętrznych uznano za właściwe udzielić pozwolenia na następujących warunkach: dla zawiadywania tą sprawą ma być utworzony komitet z 12 osób, podlegający zatwierdzeniu General-Gubernatora; członkowie rzeczonego komitetu mogą zbierać ofiary na pomnik Chopina wyłącznie pomiędzy wielbicielami talentu kompozytora, nie uciekając się do drukowania wezwań i wogóle do współdziałania prasy. Pod względem wyboru miejsca na pomnik, zatwierdzenia projektu, programu odsłonięcia itp. zastosowane być mają przepisy obowiązujące. (*Warsz. Dniew.*).

Przeciw niemczyźnie. Na zebraniu kobiet w Krakowie postanowiono: nie kupować żadnych wyrobów niemieckich, nie oddawać dzieci do szkół niemieckich, nie przyjmować guwernantek-Niemek i nie prenumerować pism niemieckich.

Wydawnictwa naukowe. Komitet Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem, im. dr. Mianowskiego, zawiadamia, iż zmarły w r. 1891 Władysław Pepłowski uczynił Kasę spadkobierczynią swego majątku, od którego dochody przeznaczył na popieranie wydawnictwa broszur i podręczników naukowych, zawierających najlepsze i najnowsze wskazówki rozwoju rolnictwa, rzemiosł i rękodzieł w kraju naszym, wyłożone jasno, popularnie, poprawnym językiem polskim, przystępnie dla ogółu rolników, rzemieślników i rękodzielników, zastosowane do potrzeb miejscowych na czasie, tudzież na pomoc dla autorów rzeczonych broszur lub podręczników i osób na tem polu pracujących. W wykonaniu zapisu tego, na którego przyjęcie Kasa pomocy właściwe zezwolenie władzy rządowej uzyskała, Komitet, zarządzający Kasą, oświadcza gotowość wejścia w bliższy stosunek z pp. wydawcami lub autorami dzieł, odpowiadających powyższym warunkom, celem zapewnienia dziełom tym lub wydawnictwom poparcia, jakieby się okazało potrzebnem i możliwem. Zgłaszać się należy do biura Komitetu Kasy pomocy (Warszawa, Niecała nr. 7), lub nadsyłać pod tymże adresem żądanie wyłuszczone na piśmie.

— Warszawskie Towarzystwo wioślarskie postanowiło wydać monografię Wisły.

Hakata. Stowarzyszenia polskie i czeskie, istniejące w Saksonii, otrzymały urzędowe zawiadomienie, że odtąd rozprawy na zgromadzeniach publicznych odbywać się mogą tylko w języku niemieckim.

— Senat politechniki w Brunświku rozwiązał polską „Czytelnię akademicką."

— W Dortmundzie komisarz policyjny rozwiązał zebranie polskie, ponieważ obecni nie chcieli obradować po niemiecku.

Szkoły. Ministeryum oświaty po porozumieniu się z ministeryum komunikacyj podniosło projekt wprowadzenia w uniwersytetach i wyższych szkołach technicznych wykładów: polityki kolejowej, prawa kolejowego teoryi zarządu drogami żelaznemi, taryf i przepisów dotyczących eksploatacyi dróg itd. Wprowadzenie tych wykładów ma na celu dostarczanie kolejom na posady wyższe osób obznajmionych z czynnością kolejową.

— Powstał projekt utworzenia centralnego komitetu wychowawczego, w którym zasiadaliby przedstawiciele wszystkich ministeryów. Pod zarządem tego komitetu mają być wszelkie szkoły istniejące w państwie rosyjskiem.

— Zarządy politechnik w Warszawie i Kijowie otrzymały rozporządzenie o dopuszczeniu do egzaminów konkursowych wychowańców średnich szkół technicznych z kursem czteroletnim, którzy je ukończyli ze stopniem technika danej specyalności.

Dla kobiet. Ministeryum rolnictwa uznało za rzecz możliwą dopuszczać kobiety do zakładów naukowych gospodarczo rolniczych w charakterze praktykantek, lecz odmówiło im prawa korzystania z tych przywilejów, jakie daje skończenie zakładu naukowego.

Konkursy. Nagrodę Braci Hempel, za łyżkę o charakterze swojskim, na konkursie ogłoszonym za pośrednictwem krakowskiego Towarzystwa „Polska sztuka stosowana," przyznano w równych częściach p. Franciszkowi Mączyńskiemu, architektowi z Krakowa i p. Stanisławowi Brukalskiemu z Warszawy.

— *Gazeta świąteczna* ogłosiła konkurs na napisanie utworu powieściowego językiem prostym i zrozumiałym dla wszelkich jej czytelników. Nagroda 300 rb. Rozmiar utworu około 1000 wierszy. Termin nadsyłania prac 15 marca r. b.

Prawa Żydów. W departamencie medycznym opracowuje się projekt, aby Żydom wolno było przez pewien czas przebywać w miejscowościach leczniczych na Kaukazie i innych uzdrowiskach w Rosyi, gdzie pobyt jest im wzbroniony.

Nagrody. Rada uniwersytetu warszawskiego nagrodę im. Adama Chojnackiego, w kwocie 900 rb., przyznała p. J. K. Tarnaniemu, asystentowi zoologii w instytucie nowo-aleksandryjskim, za pracę p. t.: „Owady szkodliwe dla roślinności i ogrodnictwa w Królestwie Polskiem, oraz sposoby walki z nimi."

Prasa. Wileńskie Towarzystwo rolnicze otrzymało pozwolenie na wydawanie dwutygodnika p. t. *Sielsko-choziajstwiennyj listok*, pod redakcyą sekretarza Towarzystwa.

Wystawy. W maju r. b., w 25-tą rocznicę istnienia Towarzystwa politechnicznego we Lwowie, urządzona będzie wystawa jubileuszowa, która ma się składać z trzech działów: wystawy wynalazków polskich, prac członków Tow. politechnicznego, oraz wyrobów krajowego przemysłu artystycznego.

Podatek. Projekt nowego sposobu pobierania podatków od nieruchomości miejskich, wzamian za istniejący obecnie podatek podymny i kontygens liwerunkowy, ma być wprowadzony niezwłocznie po zatwierdzeniu go przez Radę Państwa, co nastąpi podobno już w końcu bieżącego miesiąca. Z tego względu izba skarbowa warszawska otrzymała polecenie zapoznania z nowym systemem urzędników podatkowych. Poza tem zwołany ma być zjazd inspektorów podatkowych, na którym szczegółowo omówiony będzie każdy artykuł nowej ustawy i jego praktyczne wykonanie.

Stypendya. Na mocy rozporządzenia wydziału przyrodniczego uniwersytetu warszawskiego, studenci zamierzający ubiegać się w następnym roku akademickim o stypendyum im. Kopernika, obowiązani są przedstawić prace na piśmie, na temat wyznaczony przez wydział. W tym celu kandydaci powinni przed rozpoczęciem roku szkolnego złożyć odpowiednie zawiadomienie temu z profesorów wydziału, z którego przedmiotu zamierzają opracować rozprawę. Po za tem dla kandydatów obowiązujące są stopnie celujące na egzaminach przejściowych.

Koleje i komunikacye. Ministeryum komunikacyj rozesłało okólnik do wszystkich zarządów dróg żelaznych, zalecając, aby posady zawiadowców, zwrotniczych, dozorców drogowych i wogóle na służbie zewnętrznej zajmowały osoby nie starsze nad lat 58.

— Departament dróg żelaznych postanowił wydać przepisy, określające dokładnie, z jakich ulg korzystać mogą studenci uniwersytetów i uczniowie średnich zakładów naukowych podczas przejazdu kolejami na wycieczki naukowe.

Ofiara. Zmarły w Petersonie fabrykant lokomotyw, Jakób Rogers, zapisał testamentem na rzecz muzeum miejskiego w Nowym-Yorku 30 milionów franków.

Przemysł i handel. Przy wydziale naukowym ministeryum skarbu utworzona będzie w początku roku bieżącego komisya w celu opracowania instrukcyi o rozszerzeniu przemysłu artystycznego.

— Projekt wprowadzenia w całem państwie rosyjskiem miar systemu matrycznego opracowany już został przez ministeryum skarbu i wniesiony do Rady państwa.

Odpowiedzi Redakcyi.

Dr. M. w Kijowie. Niewykonalne.

Panu Krążelewskiemu w Solcu. Pomimo najszczerszych chęci, życzeniu Szan. Pana zadość uczynić nie możemy.

Panu Zajewskiemu w Ługańsku. Za życzenia serdecznie dziękujemy.

Panu Dziakowiczowi w Mińsku. Już lepiej.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Декабря 1901 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.